

# Bliziński Józef

## WYPRAWA PANA PROTA

Przed staroświeckim dworem wioski, leżącej w okolicy miasteczka Radziejowa (nazwiska nie widzę potrzeby wymienić), stała bryka w cztery konie gniade zaprzężona. Woźnica w szaraczkowym płaszczu z białymi herbowymi guzikami i starej lakierowanej czapce, spoglądał to w niebo, to w okna domu, jak gdyby się przymawiał o kieliszek wódki, i z niecierpliwości zaciągał kiedy niekiedy konie. Ale bo też czas był fatalny; drobny deszczyk ze śniegiem padał od wczorajszego wieczora, co obiecywało tak zwaną trzydniówkę; zimno było przenikliwe, jak się to trafia o tej porze — bo muszę dodać, że działo się to w sam wielki tydzień, we środę, w końcu miesiąca Marca.

We dworze wielki panował rwetes, jak to zwykle w wielki tydzień w naszych dworach szlacheckich. Pani Protowa, jejmość małeńka, tłuściutka, lat czterdziestu kilku, dreptała z pokoju do pokoju i ze wszystkich kątów dochodził krzykliwy jej głosik, przed którym truchlało wszystko co żyło przy dworze. Dwie jej córeczki, panienki kilkunoletnie, jak się mówi) podlotki, dopomagały matce, więcej się kręcąc i fertając, niż co robiąc, a siostra cioteczna gospodyni panna Prakseda, tytułowana przez wszystkich łowczanką, na pamiątkę dziadka, który był ongi łowczym Przedeckim, dziewica równych lat z panią Protową, opatrzona w łokciową konotatkę sprawunków mających się porobić na święta, suszyła głowę panu- Protowi, który uzbrojon w stoicką cierpliwość, puszczał mimo uszu instrukcje, zapijając grzane piwo, gwoli rozgrzania żołądka na drogę, co było rzeczą niezbędną na taką flagę i przenikliwe zimno.

Pan Prot był to szlachcic wysoki, z zawiesistym wąsem, a łbem goluteńkim jak kolano i sięgający z okładem sześćdziesiątki. Po nad buremi oczami zwieszały się brwi gęste, strzępiaste, nadające jego fizjognomji wyraz niemal srogości. Ale ten wyraz kłamał: pan Prot był łagodnym jak baranek; czasem tylko, rzadko, bardzo rzadko, w chwilach fenomenalnych, gdy mu co zbyt mocno dojadło, unosił się passją, z którą nie było mu bynajmniej do twarzy; jękał się wtedy, płątał, wymyślał nie wiedzieć po jakiemu i wybuch ten mijał natychmiast, stanowiąc epokę w kronice domowej. Ale bo też, jak miało mu być do twarzy, kiedy kłąć nawet nie umiał; strzegł się używania

^wszelkich djabłów i piorunów, a kiedy wypadała konieczna potrzeba dla energii stylu, mówił: trzysta dębów zjadł! albo: tam do sęka!

Jakim był pan Prot i w domowym życiu, i w stosunkach ze światem, najlepiej malował nadany mu przydomek Safandudy, pod którym więcej był znany niż pod swoim rodzimym nazwiskiem. Nie mówiono inaczej na całą •okolicę, tylko: byłem u Safandudy, widziałem się z Safandudą na odpuszcie, grad wybił owies Safandule. Człowiek z dobrem sercem i z głowa

O i nie tak znów zakutą, nawet dosyć wykształcony jak na partykularnego szlachcica, był najdoskonalszym ciemięgą, jakiego wyobrazić sobie było można — a był nim czysto przez lenistwo. Miewał on, acz bardzo rzadko, swoje -chwile ruchliwości umysłowej, a nawet pod pewnym względem inicjatywy; ale to trwało tak długo, dopóki nie okazała się potrzeba czynu; naówczas pokazywał się tem. czem był, to jest Safandudą. Nie zdoloy stanąć w obronie" własnego przekonania, łatwo zrażający się lada przeciwnością, był niewolnikiem cudzego zdania i byle kto mógł go prowadzić na pasku; korzystała z tej łatwości żona, którą pomimo to sumienie kazało mu szanować, bo też rzeczywiście gdyby nie ona, dawnoby na dobrej wiosce chleba nie mieli.

Słuchając bezmyślnie klektania panny ło-

wczanki, przypominającej o szafranie i cykacie, i objaśniającej dodatki i poprawki poczynione- w konotacje, pan Prot (bo wolę go tak nazywać, unikając ile możliwości przydomku dawanego mu tylko za oczy) wypił piwo co do kropli, potem otarł serwetą wąsy, i z kapciucha zawieszono go na guziku, nałożył sobie fajkę na drogę, drajkeuigiem pruskim. Pan Prot był zwolennikiem fajki, a palił zawsze drajkenig pruski przemycany, bo było to jeszcze za tych błogich czasów, gdy zwyczajny szlachcic ćmił sobie drajkenig pruski albo i nasz krośniewski. a co najwięcej gelbwirginią, nie kosztując się- na diubeki i żukowy; ale bo też mówiąc nawiasem, drajkenigi i wirginje można było- palić naówczas, gdy dziś nabrały jakichś własności infekcyjnych.

Pan Prot tedy fajki z ust nie wypuszczał czy to w domu, czy w drodze, a miał niemiecką porcelanową z odlewką, sprowadzoną umyślnie z Torunia, na której wypisane było- gotyckim charakterem: Gltick! Cygar p. Prot nie używał; miał tylko zawsze pudełko jedno dla gości, które przychodziło mu także przemycanym sposobem za pośrednictwem żydków. Nazywały się te cygara Biada. Poufalsi znajomi p. Prota utrzymywali, że nazwa była trafna, bo w rzeczy samej, biada tym co je palili t cztery konie, jak to mówią, trzeba było zaprzędz, chcąc żeby ciągnęły.

Pan Prot atoli, sam ich nie palił,\* poprzestawał jak powiedziałem na drajkenigu; to też i w obecnej chwili naładowawszy sobie kapciuch na drogę, zapalił fajkę i pożegnawszy obie kobiety, udzielające mu jeszcze instrukcji, mianowicie co do sześciu jendorów, które oddzielną furmanką pod opieką ogrodnika Mateusza szły na sprzedaż do Włocławka, oraz pogłaskawszy Marynię i Franię, które pocałowały papę w rękę, wsiadł na brykę, rozwinął ogromny płócienny parasol i- zrobiwszy znak krzyża św. ruszył z przed dworku.

Snać jednak musiał nie szczerze się przeżegnać, albo być natenczas pod wpływem jakiej grzesznej myśli, bo droga jakoś mu się nie wiodła od samego początku. Wiatr ciał prosto w oczy, napędzając wielkie płaty wilgotnego śniegu topniejącego natychmiast; a chociaż miał parasol, to wiadomo, że ten użyte- czniejszy jest przeciwko deszczowi: śnieg ciekawszy zacina z boku, zajrzy najciaśniejszą szparką, czasem zdaje się z ziemi unosić ku niebu. Pomimo więc tej ochrony zaglądał to z prawej to z lewej strony w oczy p. Prota i moczył mu wąsy, co zdawało się go niecierpliwić. Nadto nim jeszcze wyjechali ze wsi, baba idąca po wodę z kubelkiem przeszła drogę

raGSsBiB

przed końmi tak, że nie można było już jej wyminąć, chociaż Wacho śmignął na konie; na polu zaś już blisko granicy, przebiegł zając. Te dwa smutne prognostyki oddziały na humor pana Prota, który miał powód przewidywać, że ta podróż nie obejdzie się bez przypadków, i był prawie pewny, że albo koło u bryki spadnie albo uwięźną gdzie w jakiej dziurze.

Droga była krwawa. Koła szły w rozro- hionem błocie, grzęznąc co chwila po szynkle, bryka przechylała się na bok, i kilka razy 4) mało nie przewróciła; jechać można było tylko stępą, a pomimo to konie ściągały się i parskały. Pan Prot nie mógł odżałować, że do przodka nie kazał założyć złoto-gniadej, a na jej miejsce do dyszla nie wziął wałacha konopiatego przezwanego drwalem, bo tak był leniwy i tępy, że jak to mówią, drwa rąbać było można na nim — za to do ciągu w ciężką drogę jedyny. Złoto-gniada za rączka była do dyszla, to też ściągała się w błocie, tak że aż pan Prot patrzeć na to nie mógł, i gderał bezustanku na Wacha:

- Postronki u złotej za krótko; popuść trochę...
- Czego śmigasz niepotrzebnie?
- Ejże, ogierowi wytniesz ślepie...
- Schowaj bicz...

Bozkazy te były zupełnie nie potrzebne,

IP111

bo Wacho nie myślał stosować się do nich, wmawiając za każdym razem panu, że mu się tylko zdaje; gderanie to jednak, było dla pana Prota urozmaiceniem nudnej drogi i niejaki- dowodem samodzielności, której mu najnie- sprawiedliwiej, jak był przekonany, zaprzeczano.

Po dwutygodniowej drodze, znajdowali się we wsi pana Romualdego, przyjaciela z lat dawnych pana Prota — a było to, jak obszył, na pół drogi do Włocławka. Pan Prot spojrział tęsknie w kierunku dworku bielejącego po za topolami obnażonymi z liści; spojrzawszy po- myślał, i odezwał się do Wacha:

- A możeby wstąpić i koniom wytchnąć?
- Bogać by się nie zdało.
- No, to jedź do dworu — rzekł pan Prot, przekony wając się z tego przyświadczenia

Wacha, że myśl była dobra — tylko nie wyprzęgaj, bo pojedziemy zaraz dalej, niech jeno się szkapy wysapia. a derami nakryj, a stań gdzie od wiatru.

Dojeżdżając do dworu, przypomniał sobie jeszcze jeden szczegół, czem dał dowód nie małej przytomności umysłu:

— A uważaj — dodał — na Mateusza; jak będzie przejeżdżał z jendorami, to go zatrzymaj, bo pojedziemy razem z nim.

Za całą odpowiedź, Wacho pęknął z bicza, popędził kłusa na suchym bo piaszczystym dziedzińcu i stanął przed dworem.

W chwilę, nim pan Prot zdążył wygramolić się z bryki, ukazał się na progu p. Romualdy uśmiechnięty do gościa, w lisiurze i jałowicznych batach, z fajką w zębach.

— A! sąsiada dobrodzieja!... kopę lat, jak mi Bóg miły; z kądże bogowie prowadzą? czy do mnie umyślnie?

— Go prawda, mimochodem tylko sąsiadku; jadę do "Włocławka — rzekł p. Prot zląwszy z bryki i ocierając mokre wąsy o policzki p. Romualdego. — Jejmości brakło rozmaitych rzeczy na święta.

— Aha! sprawunki... no, to nic pilnego... wyprzęgaj! — krzyknął p. Romualdy na Wacha — pogawędzimy.

— Nie mogę, jak rany boskie kocham; nie wyprzęgaj! muszę jechać, jak sąsiadka szanuję... Trochę tylko wytchniemy.

— Czy sąsiadowi źle w głowie, czy co? na taką drogę!... parfors każę wziąć konie.

— Na miłość boską, dajno sąsiadek pokój — zawołał strwożony p. Prot — nie mam czasu^ tyle sprawunków... żona już ciasto zarobiła...

— Ani słucham! proszę do pokoju...

Pan Romualdy był jednym z tych gospodarzy, co to łapkiby zastawiali po drodze na gości; p. Prot zaś z samego charakteru swojego jako safandula, był nadzwyczaj miękki. O ile trudno mu było wybrać się gdzieś z od wiedziami, o tyle gdy już przyjechał, dosia- dywał z drugimi i przetrzymywał ich nawet, odjeżdżając ostatni, a już co od półmiska albo> kieliszka, to się nigdy wymówić nie potrafił.

Pomimo to, trwała przed gankiem utarczka z dobry kwadrans, wreszcie stanęło na tem, że konie się wyłożą, ale tylko na godzinkę, ani- minuty dłużej. Wacho dostał dyspozycję, aby nie czekając rozkazu, zajechał sam. Poczem nim weszli do pokoju, obesli wprzód naokoło konie i obejrzeni je najskrupulatniej ze wszystkich boków.

— Wie sąsiad, że ogier się rosfasował.

— Preepryskuje; boję się żeby do sęka, nie zazolzował.

— Otręby! — rzekł dyktatorskim tonem p. Romualdy —r nic jak otręby! Ale złota coś. spaszowała.

— Ściągnęła się przy dyszlu... za rączka...

— 'Ale bo któż widział... klacz przodkowa...

— Żałuję... jeszcze na taką drogę... aj! jaka droga! Niech mi sąsiadek daruje — dodał p. Prot delikatnie — ale zdałoby się groblę wy- reperować na Bachorzy...

— A to po kiego licha! jak kto uwięźnie. to poślę po niego konie, i kwita... a za to zje- ze mną obiadek...

— Prawda i to — rzekł p. Prot przekonany..

P. Romualdy klepał wciąż złoto-gniadą.

— Wie sąsiad co — rzekł po chwili — mo- iebyśmy ucieli handelek...

— Jaki handelek?

— Na złotą.

— A! za żadne pieniądze.

' — Ejże! jakby było czem oczy obetrzeć.

— Ale gdzie tam! nigdy... klacz własnego •chowu... A do tego faworytka żony... — dodał po chwili.

— Dam deresza.

— Dziękuję za deresza... co mi po nim?

— Nie widziałeś go sąsiad teraz! każę go wyprowadzić. Ale proszę tymczasem do pokoju.

Wszedłszy do pokoju, sąsiedzi powitali się raz jeszcze na nowo na tent miejscu, jak to u nas jest w szlacheckim obyczaju, cmokając ślę głośno w policzki. Pan Prot wycisnął pocałunek na chudej rączce pani Bomualdowej, matrony jeszcze nie starej, ale suchej i kości- stej, z zaciśniętymi ustami i wiecznie namar- szonej, która pożałowawszy p. Prota, że na taką flagę musiał wyjechać z domu, i zapytawszy -o zdrowie jego małżonki i córeczek, oraz panny łowczanki, jak nakazują przepisy przyzwoitości względem gościa, wyszła z pokoju.

Pan Prot wziął się do dzieci, których troje czy czworo kręciło się po^pokoju, wycalował wszystkie jedno po drugim, a najmłodszego ■Stefcia po brzuchu własnym wywindował aż na ramionami obniósł po pokoju; zsadziwszy go wreszcie na ziemię, zatarł ręce i spytał, jak miał we zwyczaju:

— No, cóż tam ex publicis?

Ale nie dowiedział się wiele pan Prot w tej materji, bo to była chwila politycznej ciszy w Europie, więc spojrział machinalnie na zegarek i rozsiadłszy się na kanapie, rozpoczął rozmowę z innej beczki...

— Stefcio rośnie jak na drożdżach.

— A rośnie, wisus — rzekł p. Romualdy z uczuciem rodzicielskiej dumy — już tyle prawie co Orszulka.

— Wykapany tatuś; będzie miał pewno ze siedm lat?

— Ej, gdzież tam; pięć skończy na Matkę Boską zielną.

— Jezus Marja! to chłop będzie...

— Urwipoleć okrutny... hajdamaka... Stefek!' poznałeś tego wujka?

Stefek, który wszystkich gości nazywał wujkami, zamiast odpowiedzi, z hajdamacką miną zaczął się bujać na poręczy krzesła i świstać.

— Znasz mnie, hę? powiedz — pytał p. Prot, jarając się nadać fizjognomji wyraz jak najprzyjemniejszy.

— Znam — rzekł Stefcio, patrząc na pana Prota figlarnie.

— Jakże się nazywam?

BN 2 \_\_\_\_\_

— Safahdula...

— He, he, he! — zaśmiał się p. Prot, któremu nie przyszło nawet na myśl, że wykapany iatuś powtarzał zapewne to, co słyszał u starszych.

— Smarkacz jakiś — rzekł ojciec — co on ma za koncepta! Pocałuj za to wujcia po francuzku.

Na to wezwanie, Stefcio jednym susem znalazł się na kolanach p. Prota.

Całowanie po francuzku, zależy jak wszystkim wiadomo, na szczypaniu się w policzki. P. Romualdy, kochający dzieci do słabości, zamiast abecadła uczył ich figlów; Stefcia więc, który jako najmłodszy był jego faworytem, nauczył fancuzkiego całowania, a że własne swoje policzki przeznaczył na pole prób i wcale ich nie oszczędzał, przeto Stefcio wyćwiczony był znakomicie i lży wyciskał wszystkim wujkom i ciociom bywającym w domu. Skoro więc wziął w swoje obroty p. Prota, ten wyszedł z nich z sińcami, ale pomimo to pogłaskał chłopaka po głowie, i gdy ten wyciągnąwszy mu zegarek z kieszeni zaczął około niego majstrować, przykładając go sobie do ucha, p. Prot rzekł:

— Dowcipny kanalja; będzie wisus. Czy się już uczy?

— Uczył się abecadła przy panie Nerwó- wicz, ale jakeśmy ją odprawili...-

— Ej, do sęka! to niema już tej blondynki,  
-co to...

— Co to się sąsiad tak brał do niej?... ha! ha! ha!

— Ja? ale gdzie tam!

— Niema się co zapierać, niema... przystojna była, ani słowa; tylko, że grymasów póty...

— Coś nie długo popasała... to tak, jak ta nasza francuzka.

— E, z francuzką co innego było... — rzekł p. Romualdy przymrużając oko z wyrazem domyślności — ja wiem; już to uderz się sąsiad w piersi, jegomościa to sprawka...

— Moja? co znowu!

— No, no, wiedzą sąsiedzi, jak kto siedzi; •domyślam się, że byłbyś ją sąsiad rad zatrzymał, ale nie wypadało scen robić w domu.

— Ale, jak rany boskie kocham, nie rozumiem...

— Jedno tylko mam za złe sąsiadowi — mówił dalej p. Romualdy, który niezmiernie lubił tego rodzaju prześladowania — jak można było zachować tak mało ostrożności...

Słyszając te słowa, p. Prot najnaiwniej w świecie zmieszał się i stanął w pękach, chociaż nie miał sobie nic a nic do wyrzucenia. Dowodziło to wyraźnie, że w safandule uważanym jako jednostka ludzkiego gatunku, płynie krew tak samo, jak w zwyczajnym człowieku;

cała różnica jest w jej temperaturze. Dla tego safandula pozwala z siebie żartować i bardzo rzadko gniewa się o to, czegooby zwyczajny człowiek nie zniósł z zimną krwią.

Pan Prot nie chcąc się bronić ani sprzeczać, wołał odwrócić zręcznie rozmowę.

— A nauczył się przynajmniej czego Stefcio przy niej? — zapytał.

— Powiedz wujciowi, co umiesz — rzekł" ojciec.

— Umie M. — rzekł po chwili namysłu chłopiec.

Nie byłby bardzo mądry wujcio z tej odpowiedzi, gdy by p. Romualdy nie by\* objaśnił, że Stefcio uauczył się abecadła do litery M.

— No, jak na początek, to nie źle — rzekł" p. Prot, i objawił chęć przekonania się dotykalnie o zdolnościach zaimprovizowanego siostrzeńca.

Wezwany uroczyście Stefcio, zaczął najprzód galopować na kolanie p. Pirota, wiercąc zawzięcie palcem w nosku — poczem zachęcony głaskaniem i komplementami, zdecydował się poddać egzaminowi i w kilkuminutowych przerwach, wygłosił wszystkie litery od A do M. Potrzebował na to dwadzieścia ośm minut.

— Ślicznie — rzekł wujek ocierając pot z czoła i głaszcząc Stefcia, a w duchu myśląc sobie, że byłoby tego już dosyć.

Ale p. Romualdy wpadł w sztos popisywania się z synem.

— No, a teraz z geografji — rzekł, i biorąc chłopca za wielki palec u ręki, zapytał: — Co to za część świata?

— Eulopa — odrzekł zapytany, po długim znowu namyśle i galopowaniu na kolanie. W- r A ta?

— Aflika.

— Widzi sąsiad! — rzekł p. Romualdy z trjumfem — nawet na wrywki.

— Pojętny chłopak, jak rany boskie kocham — zakonkludował p. Prot.

Pedagogiczne to posiedzenie przerwał służący w szaraczkowej liberji, wnosząc na tacy wódkę i zimną zakąskę. P. Prot poruszył się mimowolnie na kanapie, i delikatnie zsadził z kolan Stefcia.

Safandula uważany w stosunku do innych ludzi, jeżeli traci na porównaniu, to z pewnością nie wtenczas, gdy idzie o zbawienie jego żołądkowych zdolności; Rzekłbym nawet, że pewne wskazówki każą wnosić, jakoby zdolności te wyrabiały się w nim w stosunku wprost odwrotnym od innych funkcji szlachetnych. P. Prot gotów był wypić i zjeść w każdej chwili, cóż dopiero teraz, gdy po swoim śniadaniu dwie mile drogi ujechał. To też nie dając się wcale prosić, przyjął nader wdzięczne przepieie

J0pikw& p. Prota.

-p. Romualdego „do sąsiada”, łyknął jednym haustem kielich dzięglówki domowego przepalania i wziął się do zmiatania z talerzy śledzi, rydów marynowanych i gomólek z karolkiem.

Na tem zeszła wyznaczona na popas godzina, a zeszła jak nic przy miłej pogawędce o spodziewanych urodzajach, o przeszłym polowaniu, o chartach p. Andrzeja i ogierach p. sędziego, a smarując ostatni kawałek: chleba, p. Prot widział doskonale przez okno, że Wacho już zajechał, ale udał, jakoby tego nie spostrzegł, boć po śledziach należało się czegoś napić, a był pewny, że p. Romualdy o tem nie zapomni. Jakoż niebawem Marcinek wniósł na tacy dwie buteleczki porteru i dwie lampki pękate.

Pan Prot w tej chwili przypomniał sobie, że miał w kieszonce u kamizelki zegarek.

— Aj, do sęka! — rzekł sprawdzając minuty

I rozsiadając się wygodniej na kanapie — pięć kwadransy bez pięciu minut, jak rany boskie Kocham!

— Patrz sąsiad, koszulka jest — odrzekł nie uważając bynajmniej na to p. Romualdy, i podsuwając p. Protowi lampkę czarnego płynu pokrytego na ćwierć cala prześliczną, ślinkę pobudzającą pianką.

P. Prot nic nie odpowiedział, tylko wziął szklankę we dwa palce, uniósł trochę, zdmuchnął ostrożnie piankę, i uroczyście wlał dwie trzecie płynu przez usta do gardła; potem dolną wargą ogarnął wąsy, postawił szklankę na stole i zasiadłszy się w kącie kanapy, nadał usta i dmuchnął długo, przeciągle.

Sąsiedzi wyczerpawszy podczas śniadania repertoar zwykłej pogawędki, siedzieli jakiś czas naprzeciw siebie, dopijając pierwszej szklanki i spoglądając tylko jeden na drugiego w milczeniu; p. Romualdy bębnił palcami na stole marsza, p. Prot parę razy odezwał się z ciężkim westchnieniem: Oj tak, tak!

Byłby w kłopotcie, gdyby go zapytano, do czego to stosował.

Gdy p. Romualdy nalewał drugą szklankę, p. Prot zapytał:

— Dawno też sąsiadek widział się z Nietoperskim?

Ten, którego p. Prot wymówił nazwisko, był sąsiadem p. Romualdego; p. Prot znał się z nim bardzo mało i tem samem nie troszczył się o niego zbyt; to też zapytanie to, tak sobie byle coś powiedzieć, rzucił takim tonem, jakby mówił: Ciekaw jestem, o czem tam Wacho myśli na bryce?

— Z Nietoperskim? — pochwycił p. Romualdy — byłem u niego tydzień temu. Niech Bóg broni! — dodał trącając w szklankę p. Protą.

— Co, niech Bóg broni?

— W długach już póty... niema jednego



żydka łapserdaka w okolicy, któryby mu uie siedział w kieszeni. Wie sąsiad, sprzedaje majątek — mówił p. Romualdy odkorkowując drugą butelkę.

— Ej, do sęka!... to już tak źle? — rzekł p. Prot kończąc z pośpiechem szkfanę.

— Cóż ma robić; jak nie sprzeda na wiosnę,, to na święty Jan zabiorą mu przez subhastę.

— Mój Boże! — wygłosił p. Prot delektując się portere — majątek od tylu lat w rodzinie;, jeszcze pono za Augusta II...

Niechaj nikogo nie dziwi to odezwanie się p. Prota, zaczepiające o historję, a tem samem dowodzące, że p. Prot czytuje. Rzeczywiście literatura bywa nie obcą safandułom— czytają oni, chociaż z innych pobudek i z inną korzyścią niż zwyczajni ludzie. Częstoć abo- nują dzieła w miasteczku, jeżeli jest księgarnia, bo miło jest leżąc w szlafroku do góry brzuchem na sofie, czytać książkę, która nas bawi i jest przyzwoitą wymówką zaniedbywania innych obowiązków. Ztąd też safanduła bywa niekiedy ocytanym. Znałem ludzi tego gatunku, którzy recytowali z pamięci tysiące wierszy Mickiewicza, Słowackiego lub Pola i pamiętali nazwiska wszystkich bohaterów i bohaterek Kraszewskiego lub Kaczkowskiego; ale każdy z nich otworzyłby wielkie oczy gdyby kto śmiał się go zapytać, z jakiego też punktu zapatruje się

na tych autorów. Bądź co bądź, trafiają się •okoliczności,, że safanduła może mieć pretensję dó uchodzenia za erudyta, jak np. względnie do p. Romualdego, p. Prot był erudytem, i rad był, że mógł to okazać.

— Tak — mówił dalej — za Augusta II; ale najznakomitsze rodziny upadają nierządem. Iluz to imion dawniej znanych w historii, dziś niema ani śladu... Tęczyńscy, Firlejowie...

— Prymasowscy... — dołożył p. Romualdy wścibiając swoje trzy grosze...

— Jacy Prymasowscy?

— A ci, co mieli pałac w Warszawie na Senatorskiej ulicy...

— Jak żyję nie słyszałem... wiem, że tam mieszkali prymasi i ztąd nazwa pałacu.

— E, to kwestja; mógł mieszkać który prymas, ale to nic nie dowodzi; nie pisaliby przecie: pałac Prymasowskich.

— Nie pisaliby? a gd?ież sąsiadek czytał?

— W kurjerze... a gdzieżby? wiesz sąsiad dobrze, że w książki się nie wdaje.

— W kurjerze! — rzekł pan Prot-z pogardliwym giestem.

— Drukowane czarno na białe m — mówił Romualdy, popierając swoje zdanie egzemplarzem tego pisma, których kilka wałało się po kątach. — Patrz sąsiad, najwyraźniej... „Skład" .., czegoś tam... „wprost pałacu Pry

ma-sow-skich"... toć przecie o gramatyce mam trochę wyobrażenia...

Powstała ztąd sprzeczka, podsycana z jednej strony erudycją, z drugiej wiarą w nieomylność kurjera, a z której o mało nie wynikł zakład; ale przerwał ją Wacho, trzasnąwszy z bicia, bo mu się sprzykrzyło czekać".

P. Prot wstał z kanapy, wysączywszy sumiennie resztki porteru, najlepsze, jak utrzymywał, bo z chiną. i zaczął się zbierać do odjazdu. P. Romualdy molestował zatrzymując na obiadek, ale p. Prot tym razem trzymał się jakoś ostro. Nałożył sobie fajkę i zapaliwszy ją, chciał pożegnać jejmość dobrodziejkę, ale pokazało się, że jest gdzieś u gospodarstwa, co było rzeczą bardzo naturalną przy wielkim tygodniu: więc zostawił jej tylko ukłony, potem wyczałował policzki gospodarza i zaczął szukać czapki. Ale czapki nie było. Napróżno przepatrzone wszystkie kąty. znikła jak kamfora. Dopiero, gdy wyprowadzono śledztwo z dzieci i Marcinka, wydało się, że ją wzięto do folwarku na jaja, które miano z niej podkładać pod kury, jak się to praktykuje dotychczas w gospodarstwach racjonalnie prowadzonych.

P. Prot zanadto miał poszanowania dla wszystkiego, co tchnęło tradycją, aby się o to gniewał; gospodarz zaś pochwycił skwapliwie tę okoliczność, rad, że ma środek zatrzymania gościa dłużej i zrobienia mu tym sposobem figla, o czym przemyślał od chwili, gdy się przekonał, że p. Protowi pilno. P. Romualdy do okrucieństwa czasem posuwał swoją gościnność.

— Widzi sąsiad! — rzekł — samo się składa: zjemy razem obiadek. Niechże już tam sobi& nasadzają kury; nie będziemy im przeszkadzać; jejmość moja nie darowałaby sąsiadowi, gdyby z jego powodu nie miała kurcząt...

— Ale mój sąsiadku...

— Będzie szczupak po żydowsku i karasie smażone,

— Ale widzi sąsiadek — bronił się już słabiej pan Prot — najgorzej z temi sprawunkami...

— Wielkie rzeczy! po obiedzie nie będę zatrzymywał... wyjedziesz sąsiad o czwartej, staniesz w Włocławku na szóstą... i jutro pozalätwiasz...

— Hm! do sęka... ale bo to już jutro wielki czwartek... i droga paskudna... — bąkał p. Prot, podczas gdy gospodarz wyszedł przed sień i oznajmił Wachowi, że ma wyprządz...

Wacho otworzył gębę i niedowierzająco patrzył na p. Romualdego, ale we drzwiach ujrzał swojego pana, który rozkaz potwierdziły dodając głosem ile możności pewnym siebie:

— Ale bądź gotów, bo zaraz po obiedzie jedziemy.

Wacho przekręcił czapkę na lewe ucho, podrapał się w prawe, ruszył ramionami i śmignawszy biczem zajechał przed stajnię.

Sąsiedzi wrócili do pokoju.

— Żrobimy marjasza? — zapytał gospodarz.

P. Prot zajrzał nie wiedzieć po co do zegarka.

— No! byle nie długo... parę partji. > — Póki obiadu nie dadzą.

Więc zasiedli do marjasza, którego obaj zapalonymi byli zwolennikami, a przez cały czas nie było słyhać, tylko: dwadzieścia w dzwonki, dobre początki; dwadzieścia czerwieni, niech to pana nie rumieni, skupuję niżnika, biję kozerą i t. p., i tak zeszło do obiadu.

Po trzech czy czterech pulach, Marcinek dał znać, że waza już na stole. Sąsiedzi wstali i przeszli do jadalnego pokoju, zostawiając karty na swoim miejscu, i przykazując Marcinkowi, żeby, niech Bóg broni, nie sprzątał, bo właśnie p. Romualdy dawszy p. Protowi suchą dubłę, odpędził go od puli, i walka miała się skończyć po obiedzie.

Nim jeść zaczęto, było dużo hałasu z dziećmi, których państwo Romualdostwo mieli sześcioro, a ta konsolacja potrzebowała pół godziny czasu na przyzwoite usadowienie się przy stole. „Wykapany tatko” przyszedł z płaczem, skarżąc się, że mu Adaś przyciął we drzwiach Australję,

z czego ojciec wraz, z p. Protem wnieśli, że ma wielkie zdolności do gjeografji.

Po obiedzie, nie czekając na czarną kawę, którą p. Romualdy kazał przynieść do swojego pokoju, sąsiedzi poszli kończyć pulę, co trwało około trzech kwadransy. Przez ten czas p. Prot, który już parę razy odezwał się, że trzeba kazać zaprzęgać, zauważył przez okno, nie śmiałym przysiędz czy nie z pewnem ukontentowaniem, iż horyzont, który przed obiadem zaczynał jakby się rozjaśniać, zasępił się teraz na nowo i deszcz z dużemi płatami śniegu zaczął padać w najlepsze.

Po skończeniu puli, p. Prot przedsięwziął sumienną obserwację stanu nieba z pomocą gospodarza, który, ukazawszy mu z rozmaitych okien domu cztery kardynalne punkta widnokręgu, i przyzwawszy na pomoc barometr spadający wciąż widocznie, łatwo przekonał gościa, że dziś wyjeżdżać jest niepodobieństwem.

— Ale <sup>rl</sup>- rzekł p. Prot goniąc ostatkiem argumentów — jeżelić barometr spada, to i jutro będzie tak samo.

— Przepraszam sąsiada — odrzekł p. Romualdy — w sobotę pełnia, a obserwowałem już nieraz, że na dwa dni przed kwadrą, pogoda się zmienia; poszedłbym w zakład, że jutro się wypogodzi.

— Ale sprawunki...

— Jak sąsiad wyjedziesz jutro do dnia, to wszystko pozalatasz i wrócisz jeszcze na noc do domu.

— Ha! — rzekł z rezygnacją p. Prot, i zaniechawszy dyspozycji dla Wacha, zasiadł na powrót do marjasza. A z jakąż] swobodą grał teraz, gdy miał widok przepędzenia w ten sposób całego wieczoru. Nic mu tego widoku nie mąciło, a myśl o jutrzejszej podróży, o żonie i o sprawunkach odganiał jak najdalej od siebie. Bo safandula obawia się tylko niebezpieczeństwa, grożącego mu bezpośrednio — dalsze, rzekłbyś że dlań nie istnieją. Pod tym względem obdarzony jest dziecinną zaprawdę nieświadomością następstw swojego safandulstwa.

P. Prot tak był rad z obecnej chwili, że nie irytował się nawet zbytecznie nieszczęściem w grze, prześladowanym go bezustannie. Baz tylko, gdy nie dograł partji mając sto trzydzieści, spojrzął na sufit i rzekł z niechęcią: „Siedzę pod belką, czy co u sęka?” i przestawił krzesło na drugą stronę stołu; drugi raz zaś, gdy przez parę partji wszystkie kozery szły do p. Romualdego, uderzył w stół pięścią i zawołał: „nie! tu żyda musieli zabić w tem miejscu!”

Te dwa odezwania się, były jedyną jego protestacją przeciwko niewzględności fortuny, i gdy po kolacji i herbacie, wypadło udać się na spoczynek (bo nazajutrz postanowił wstać bardzo rano), i gospodarz i gość byli w wybornych humorach.

P. Bomualdy odprowadził p. Protą do przeznaczonego dlań pokoiku gościnnego. Gdy przechodzili przez kredens, p. Prot spostrzegł wyprostowanego na ich widok, swojego ogrodnika Mateusza, na teraz mającego pod swoją opieką sześć jendorów przeznaczonych na sprze-> daż do Włocławka, ale pomimo tego dowodu zaufania, znajdującego się w stanie niekoniecznie trzeźwym, o czem świadczyły oczy zbielełe i wytrzeszczone, jak gdyby miały ochotę wyjść z oprawy.

P. Prot nieprzyjemnie został dotknięty widokiem zaufanego sługi, bo zapomniał był zupełnie i o nim i o jendorach.

— A co ty tu robisz? — zapytał.

— Czekam, proszę wielmożnego pana — odrzekł Mateusz ze czkawką.

— Za czem?

— Pewno pojedziemy; wielmożna pani mówiła, żeby...

— No, no, idź spać — rzekł p. Prot przerywając — pojedziemy jutro do dnia...

— A konie?

— Jakto, konie? alboż nie wyprężone? — zawołał p. Bomualdy.

— A nie, proszę wiel. pana... czekałem, rychło pojedziemy...  
— A to głupiec, no proszę... wyprzęgaj zaraz...  
— Stałem z bryką pod ścianą za folwarkiem i porzuciłem na przegrzykę trochę siana.  
— To dobrze, a teraz wyprząż do stajni i idź spać.  
— Więc jutro rano dopiero ? — zapytał Mateusz z uporem nietrzeźwego sługusa —  
wielmożna pani mówiła...

— Mówiła przedewszystkiem, żebyś nie zaglądał do kieliszka — rzekł zniecierpliwiony p. Romualdy, i wypchnął go za drzwi, gdzie słyhać było mruczenie mające być protestacją przeciw zuchwałemu przypuszczeniu.

Pokoik gościnny, do którego p. Romualdy zaprowadził swojego gościa, znajdował się na tyle domu w przystawce, której drugą połowę zajmowała spiżarnia. P. Prot znał go doskonale tu bowiem przemieszkiwał przez lat kilkanaście zmarły niedawno staruszek, krewny p. Romualdego, zwany przez wszystkich dziadu- siem: p. Prot w tym samym pokoju grał z nim nie raz, nie dziesięć w marjasza.

Na kominku palił się suty ogień, jak bywało za czasów dziadusia, i gdy weszli, na raz obudwom on sam przypomniał się, tak jakby go wczoraj widzieli.

— Mój Boże! — odezwał się po chwili p. Prot, rozbiegając się z pewnem ociąganiem — pocziwy dziaduś! wie sąsiadek, jakeśmy weszli do tego pokoju, stanął mi na myśli jak żywy.

— I mnie to samo — odrzekł p. Romualdy siadając przed kominkiem.

— To już będzie pewno trzeci miesiąc, jak umarł... Panie, przyjmij go do chwały Twojej — rzekł p. Prot oglądając się na około, jak gdyby zwracał uwagę cienia, jeżeliby się tu znajdował, że pamięta o jego duszy.

— A tak, przed nowym rokiem, w sam dzień młodzianków...

"— Pocziwe człowieczysko szkoda go — rzekł p. Prot z tym samym znowu ruchem.

— Zapewne, co on to nam nieraz naopowiadał o tem i o owem.

— Aha! o swoich rezydencjach...

— Jak był na dworze starosty, a potem u wojewody. U starosty był jeszcze młodym chłopcem, ale musiał uciekać wybiwszy ząb starościcowi przez jakiś psi figel.

— Prawda. Ale jak to było z wojewodą? zapomniałem już.

— Z wojewodą? o! to było dobre. Był tam rezydentem razem z dziadusiem jakiś łowczye, podobno Gostyński, młody chłop, ale taki per- sonat, że nazywali go wszyscy podkomorzym. Otóż razu jednego — a był to dzień w którym

dziaduś miał służbę — wchodzi sobie do przedpokoju...

— Kto... dziaduś?

— A tak... i patrzy, a tu w otwartym oknie stoi rozparty łowczyc, wychyliwszy się przez pół i wygląda na ogród... a był w opiętym żu- paniku bez kontusza...

— Dziaduś?

— Ale gdzie tam, łowczyc, Dziadusiowi aż ręka zaświerzbiała na ten widok, więc plunął w garść i przybliżywszy się na palcach do łowczy ca, jak go trzaśnie z całej siły...

— O la Boga!

— Ale o mało paraliżu nie dostał, gdy tamten obrócił się raptem i dziaduś poznał w nim samego wojewodę, który podobnusięnką miał figurę.

— Masz do sęka! i jakże?

— Oba otworzywszy gęby, patrzeli na siebie przez chwilę, nareszcie dziaduś opamiętawszy się, podkasał poły i buch we drzwi, a nie oparł się aż u swojego wuja pod Przedczem...

— I! coby mu tam było!

— Podobno wojewoda śmiał się do rozpuku, ale dziaduś jak raz uciekł, tak niechciał już powrócić za żadne pieniądze...

— Już to na rezydencjach jakoś mu nie szło...

— Ale zawsze nabrał pańskiej maniery; znać było zaraz, że nie za piecem się chował — a co

miał za koncepta! Baz mojemu Ignasiowi, najstarszemu... bo to był jego faworyt... dał na imieniny dukata, i powiada: „naści czerwony złoty, ale daj słowo honoru, że przez tydzień książki w rękę nie weźmiesz.”

— Ba i bardzo!

— Chłopiec na to jak na lato, a uczył go wtenczas organista; przez cały tydzień bąki zbijał... boć nie wypadało mi bronić... aż dziaduś powiada do mnie: patrz wasan, co to będzie za honorowy człowiek.

— Pocziwy dziaduś... panie świeć nad jego duszą — rzekł p. Prot oglądając się znowu.

— Albo za francuzów, jak się bił z prusakami...

— Ba! ba! jeżeliby to wszystko, miała być prawda co opowiadał...

— Co płatnie z konia, to przez brzuch, a co wyjmie pałasz, to kartofel na końcu ostrza...

— He, he, he! — śmiał się p. Prot; ale jakoś z przymusem, pomimo wesołej treści rozmowy.

— A co to za zdrowie było; ręczę, że gdyby nie ta fistuła, to byłby żył jeszcze z jakie dziesięć lat...

— Niezawodnie!

— Przytem wesół był aż do samej śmierci. Pamiętasz sąsiad? tu, na tem samem łóżku...

— I co tam... dajmy już pokój — przerwał

p. Prot — nie naruszajmy nieboszczyków, pogadajmy lepiej o czym innym...

— Toć mu przecie nie ubliżamy — zaop- ponował p. Romualdy.

Ale pan Prot nie chciał już wracać do tej materji, i zaczął o cenach zboża. Więc gawędzili tak jeszcze godzinę, bo jakoś rozbierał się nader bardzo wolno i co zdjął z siebie jaką część odzienia, to się przysiadł do p. Romu- aldegó i grzebał w kominie. Nareszcie gospodarza sen już zmorzył, więc bez względu na to, że p. Prot nie miał jeszcze ochoty kłaść się do łóżka, złożywszy mu życzenie dobrej nocy, wyszedł z pokoju.

Pan Prot wierzył w duchy jak stara baba, co także było jedną z cech jego safandulstwa, więc gdy ujrzał się sam, doznał nader niemiłego uczucia; mimowóli obejrzał się po pokoju, usiadł przed kominkiem i przyłożył na ogień parę kawałków drzewa, którego spore naręcze zostawił na szczęście Marcinek. Siedział tak z godzinę, usiłując rozweselić umysł płomieniem, podsycanym troskliwie — ale to nie wiele pomagało. I dziwić się temu nie można. P. Prot nie był w tym pokoju od dnia, w którym widział na marach dziadusia — cóż więc osobliwego, że gdy wszedł teraz, ten obraz nasuwał się jego rozdrażnionej wyobraźni.

Siedząc przed kominem, odwrócony tyłem do pokoju, eo chwila z nerwowym ruchem oglądał się po za siebie, zdawało mu się bowiem, że nieboszczyk stoi gdzieś koło niego, i • chce go wziąć za ramię. Do tego jak na złość wiatr szumiał na dworze, poruszając co chwila okiennicą źle przypasowaną i wygrywając w kominie jakieś fantastyczne nokturno. Na każdy niespodziany stuk lub skrzypnięcie okiennicy, mrowie przechodziło mu po skórze; przewidywał z niepokojem, że bardzo złą noc przepędzi i nie wyśpi się na jutrzejszą drogę, więc złorzeczył z całego serca swojemu bałamuctwu.

Przywidzenie, że ktoś stoi za nim i trąca go w ramię, było dlań tak nieznośne, że postanowił bądź co bądź położyć się. Nakładłszy przeto co było drzewa na ogień, który buchnął jasnym i wesołym płomieniem, udał się do łóżka; ale pościel w którą się kładł, przeobraż łała się w jego wyobraźni na mary, a na-4ych marach leżał dziaduś zupełnie jak przed trzema miesiącami. Ten widok tak mu się uprzytomnił, tak natarczywie stawał w myśli i przed oczyma, że pomimo ich gwałtownego zmrężania, sen ani myślał przybywać mu w pomoc, owszem, mimo własnej chęci i woli wpatrywał się w ogień komina, a wyobrażając sobie ciągle nieboszczyka na tem samym miejscu na którym zamknął oczy na wieki, to jest na łóżku obok siebie, odmawiał za duszę zmarłą zdrowaśki.

Wyprawa p. Protą.

jak gdyby dla zaskarżenia sobie jej względności. Za rodzzonego ojca nie wymodlił się tyle, co przez tę noc za poczciwego dziadusia.

Jak długo tak leżał, sam nie wiedział. Nareszcie chcąc nie chcąc przeszedł w ten stan na pół senny, z którego gdyby go nagle obudzono, nie byłby zdolnym powiedzieć, czy spał, czy czuwał. I w stanie tym widział najwyraźniej, jak drzwi będące wprost jego łóżka otworzyły się, jak wszedł niemi dziaduś odziany w białe prześcieradło i stanąwszy w progu kiwał na niego. Towarzyszyły temu widzeniu żalosne jęki i głuchy brzęk kajdan, który po chwili tak się wzmógł, że p. Prot ocknął się nagle i uniósł na łokciu.. Ohociaż przestraszony, z pociechą pomyślał, że spał i że to wszystko było snem tylko; ale gdy oprzytomniawszy, spojrzął przed siebie, trochę włosów jakie posiadał, dębem powstały mu na głowie. Ogień w kominie wygasł, i tylko jedna głownia tlejąc jeszcze przerywanym płomieniem, rzucała na pokój blask fantastyczny. Przy tem świetle niepewnym, p. Prot rzeczywiście ujrzał dziadusia, który stojąc w prześcieradle przy samych drzwiach, kiwał nań ręką długą i suchą, i jęczał tak samo, jak mu się zdawało we śnie.

Gdyby p. Prot był zdolny do uważnego zbadania przyczyn tego zjawiska, byłby się przekonał; że obudził go nie brzęk kajdan lecz [ silniejsze stuknięcie okiennicy, że owe jęki pochodziły z komina, w którym wiatr grał po I swojemu wyjąć żałośnie, że wreszcie rolę dzia- I dusia wziął na siebie wiszący przy drzwiach I na gwoźdźniku ręcznik, przygotowany na jutro I do umywania. Dodajmy, że przed kominem I stało krzesło pozostawione na tem miejscu od I wczoraj, od którego padał cień wprost na ścianę, I tam gdzie wisiał ręcznik; nic więc dziwnego, I że z materiałów tych, głownia dopalająca się I w kominie z pomocą migotliwego swego pło- I mienia, urządziła ruchliwą tantazmagorję, po- I dobną w oczach p. Prota do nieboszczyka dzia- I dusia jak dwie krople wody do siebie. Ale p. I Prot był w stanie takiego rozdrażnienia, że I ani myślał zapuszczać się na pole dociekań; I bezwiednie obrał inną drogę, to jest polecając I się wszystkim świętym i swemu aniołowi stró- I żowi, nakrył się kołdrą na głowę, z postano- I wieniem przeżycia w tej pozycji do rana.

Nazajutrz, gdy p. Bomualdy wstał o godzinie siódmej, pewny że jego gość gotuje się I już do drogi, zdziwił się niepomału dowiedziawszy się od Marcinka, który wziął obuwie i I rzeczy do czyszczenia, że p. Prot spi jeszcze I w najlepsze. Zatarł ręce z ukontentowania bo I postanowił sobie zatrzymać p. Prota jak się da I najdłużej — a okoliczności przychodziły mu I same w pomoc. Więc najprzód przykazał Mar- 1 \* - - 3\*



cinikowi najsurowiej, aby ani zajrzał do gościnnego pokoju, a bojąc się żeby p. Prot nie-  
obudził się z innej jakiej przyczyny, sam pomimo- niepogody zaciągnął się na wartę pod jego  
oknem, spędzając z tego stanowiska drób, psy i ludzi. W ten sposób upłynęło ze trzy godziny,  
ku wielkiemu zadowoleniu p. Bomualdego, na- koniec koło w pół do jedenastej p. Prot dał  
znak życia przyzywając na całe gardło Marcinka. P. Romualdy przytrzymał go jeszcze z  
kwadrans bo był pewny, że bez butów i odzienia nie wyjdzie — nareszcie zacierając ręce,  
wszedł sam do niego.

— Dzień dobry sąsiadowi — rzekł figlarnie — jakże się spało?

— Ktęci-a to godzina? — zapytał p. Prot, podnosząc się na łóżku - i nie odpowiadając na  
dzień dobry.

— Jeszcze nie tak późno.

— Ale! licha tam... każ sąsiadek z łaski swojej otworzyć okiennice.

— P. Romualdy zawołał Marcinka, i kazał mu odłożyć okiennice, a potem przynieść  
drzewa na komin.

— Niech najprzód rzeczy przyniesie — prosił się p. Prot namacawszy próżnią na krzesle,  
gdzie był złożył odzienie.

— Nic pilnego — zimno w pokoju — musi wprzód napalić.

W tej chwili uchylła się okiennica i światło dzienne zajrzało do pokoju. P. Prot sięgnął  
pod poduszkę po zegarek.

— A! jak rany boskie kocham, to już je- •dynasta! w imię ojca i syna... a tom zaspiał.

— Wielkie rzeczy; bardzo się cieszę, że sąsiadowi dobrze się spała.

— 35, gdzie tam! myszy czy szczury nie dały mi oka zmrużyć przez całą noc — zasnąłem  
dopiero nad ranem.

— Dziaduś nie przyśnił się sąsiadowi?

— Nie — rzekł sucho p. Prot patrząc w okno. — Jakże tam na świecie?

— Paskudnie. Już to widzę, że tak będzie .do soboty.

— Tam do sęka! Niechże cię licho nie weźmie! — zawołał p. Prot wyskoczywszy z łóżka  
i zbliżywszy się w negliżu do okna.

— Nie zięb-no się sąsiad — rzekł p. Romualdy — niema nic pilnego; toć i tak przed  
obiadem nie puszczę.

— To, to, to... jeszcze czego...

—■ A naturalnie... już teraz wszystko jedno.

— Jak rany boskie kocham! — rzekł p. Prot powróciwszy do łóżka i otulając się kołdrą —  
com ja narobił! trzeba było wczoraj jechać... żona tam czeka na sprawunki... niechże <sup>v</sup> cię  
licho nie weźmie!

— Mnie ile razy żona da konotatkę do miasta,

to albo udam że zgubił, albo co innego ku- I pię... i odzwyczailem ją tym sposobem.

— Ba! łatwo mówić — mruknął p. Prot przez zęby.

Na to wszedł Marcinek z naręczem drzewa; ale nim ogień rozpalił, nim rzeczy przyniósł; nim p. Prot się rozgrzał i wypiłszy kawę, którą mu przyniesiono do łóżka, wziął się do ubierania, upłynęło czasu nie mało — i gdy wszedł do pokojów gospodarstwa, było już blisko wpół do pierwszej.

P. Bomualdy zaproponował parę partia marjasza nim podadzą obiad; p. Prot przystał [J ale tymczasem posłał do Wacha z poleceniem] aby zaprzęgał. W godzinę doniesiono mu, że Wacho pił do samego rana w karczmie, a teraz śpi w jakiejś dziurze, tak że nie można go znaleźć.

Ta wiadomość tak znękała i rozstroiła p] Prota, że gdy wkrótce podano obiad, jadł go prawie półgębkiem co u niego było osobliwo; ścia. P. Romualdy jako gospodarz domu i przyjaciel, czuł się w obowiązku przyjścia w pomoc swoją radą.

— Po kiego licha — rzekł poufnie — masz sąsiad sam jeździć do Włocławka. Posłać Ma-

. teusza i kwita! , I

— E! co sąsiad gada!

— No, wielkie rzeczy! Pójdzie do którego znajomego kupca z konotatką i weźmie co trzeba; pieniądze będzie miał przecie za jendory, a gdyby brakło, to pokredytają, tylko sąsiad napisz kartkę... Czy nie mam racji?

P. Prot potrzęsnał głową.

— A zresztą — mówił dalej p. Romualdy — niema czasu do stracenia; Wacho jeżeli się spił, to się tak prędko nie pokaże, i dzisiaj już sąsiad nie będziesz mógł wyjechać... a Mateusz może wrócić najdalej na jutro przed południem.

U safandudy władze pojmowania i sądu

0 rzeczach są tak elastyczne, że komukolwiek bardzo łatwo przychodzi dosięgnąć je na swoją miarę, i tak trwają dopóty, aż przyjdzie ktoś inny i skurczy je albo rozciągnie podług swojego widzenia. Własnym siłom safandula pod tym względem nie dowierza i nie posługuje się nimi wcale.

P. Romualdy mówił tak pięknie, że przekonał zupełnie p. Prota; więc posłano po Mateusza, który wysłuchał wszystkiego z powagą, czując się podniesionym tym nowym dowodem zaufania, i odchodząc, rzekł tylko solennym tonem te proste słowa, ale którym nadał donioślejsze znaczenie przyłożeniem ręki do serca:

— Przecie spoździwam się, że dam sobie radę.

Te wyrazy, a więcej jeszcze ton jakim były wyrzeczone, uspokoiły zupełnie p. Prota, i był już najswobodniejszy do samego wieczora.

Nie długo po odjeździe Mateusza, gdy deszcz nieco pofolgował, p. Bomualdy kazał przyprowadzić na dziedziniec deresza i przejeżdżać go pod oknami. P. Prot jako koniarz przyszedł do okna i patrzył, a p. Bomualdy z niechceniem zaczął wyszczególniać wszystkie dobre strony źrebca: wyłamanie karku, odsadę ogona, zbiór nóg i t. d., a w miarę jak mówił, wszystkie uprzedzenia p. Prota do deresza, topniały jak śnieg wiosenny na słońcu, i ani się spostrzegł jakim sposobem przyszło do handlu. W godzinę, był już szczęśliwym posiadaczem tego konia, w zamian za faworytkę żony, ztotogniadą, na którą p. Bomualdy dawno już zęby ostrzył.

Zakropiono litkup miodem domowego sycenia, na który przybył także ks. proboszcz — bo we wsi p. Bomualdego był kościół; a że zebrało się trzech amatorów preferansa, więc wieczorem zrobiono pulkę po trzy punkta za grosz, która przeciągnęła się aż do godziny jedynastej.

Gdy przyszło udać się na spoczynek, p. Prot przypomniał sobie o dziadusiowym pokoju i jego dziwach; zdobył się więc na energję i oświadczył stanowczo, że za żadne pieniądze spać tam nie będzie, z powodu sąsiedztwa z spiżarnią, w której myszy i szczury zanadto dokazują. Posłano mu zatem w izdebce pisarza, któremu p. Bomualdy pozwolił wyjechać na święta do rodziców. Ponieważ do pokoju tego nie były przywiązane żadne wspomnienia, przeto już i mary zeszlönocne nie miały powodu dręczyć p. Prota, który zaledwie przyłożył głowę do poduszki, zasnął smaczno i spał przez całą noc jak najlepiej.

Nazajutrz rano, a był to już wielki piątek, p. Bomualdy obudziwszy się później niż zwykle, dowiedział się od Marcinka, który właśnie odnosił wyczyszczone rzeczy p. Protowi, że ten już nie spał i zaraz miał wstawać. Uplynęła wszakże blisko godzina, a p. Prot się nie pokazywał, więc zniecierpliwiony p. Bomualdy, poszedł sam do niego.

Dochodząc do drzwi, usłyszał kilkakrotnie powtarzane wyrazy: pójdź tu, pójdź tu, na, chleba 1 — Widocznie z psem się jakimś bawi — pomyślał p. Bomualdy, ale wszedłszy co zobaczył. Oto p. Prota jeszcze w łóżku, a na kołdrze leżącego w jego nogach psa, który wyszczerzał zęby i warczał groźnie, ile razy p. Prot poruszył się chcąc wstać z łóżka.

' — Wystaw sobie sąsiadek — zawołał gość ucieszony zjawieniem się gospodarza — co mi ten Marcinek narobił. Przyniósłszy rzeczy, wpuścił jakiegoś psa, który mi się nie da ruszyć z łóżka.

•t- Ha! ha! ha! to pies pisarza... jaki hardy

na swoich śmieciach!... a pójdziesz, Bukiet! a na dwór!

Psisko stuliwszy ogon zeskoczyło na ziemię, i wlaźło pod łóżko, z kądem go p. Bomu dy ledwo kijem wypłoszył i na dwór wypędził.

Oswobodzony tym sposobem p. Prot, ubrał się i poszedł z gospodarzem na kawę. Pogoda jakoś się nie poprawiała, deszcz jak padał, tak padał. Ten stan powietrza zdawał się oddziaływać na usposobienie p. Prota, który stracił humor zupełnie. Mateusza można się było spodziewać nie zadługo, poczem wypadało już wracać do domu; a im bliższa była ta chwila, tem niespokojniejszym był p. Prot. Zaczynał zapytywać siebie, czy dobrze zrobił, posyłając na swoim miejscu do Włocławka Mateusza.

Nie mając co robić, sąsiedzi zasiedli do marjasza, i to rozerwało troszeczkę p. Prota; ale po południu nie mógł już grać w żaden sposób, tak nerwowo wyglądał powrotu Mateusza. Wszakże wyglądał na próżno; zbliżał się wieczór, a Mateusz nie przyjeżdżał. P. Prot poszedł z gospodarstwem do kościoła na passją, ale kazał sobie dać znać, jak tylko Mateusz się pokaże, bo nie wątpił, że lada chwila nadjedzie. Ale i nabożeństwo się odbyło i noc zapadła, a o Mateuszu ani słychu. P. Prot nie wiedział co wnosić: przychodziło już mu na myśl, czy czasem nie zrozumiał dobrze jego rozkazów, Mateusz prosto z Włocławka nie pojechał do domu? — i miał już ochotę pożegnać ft. Romualdego. Ale nuż nie? jak się pokazać glinie i pannie łowczance bez Mateusza i sprawunków!? Ta wątpliwość gryzła niezmiernie p. Prota i na spoczynek udał się znękany i 'lrjaadły zupełnie na duchu.

' Noc przepędził równie niespokojną, jak T\$zed dwoma dniami w dziadusiowym pokoju; tylko że mary co go dziś dręczyły, były zupełnie innego rodzaju. Zona, deresz, łowczanka, jen-dory, Mateusz, złotogniada, wszystko to plątało się po jego mózgu i wyprawiało jakieś piekielne t^pce, gmatwało się w jakieś wypowiedzieć się Hie dające dziwolągi, jak to zdarza się nieraz . w śnie gorączkowym. Śniło mu się przez całą noc coś, co go nękało, Co mu dokuczało niewypowiedzianie, a przecież obudziwszy się, nie byłby w stanie powiedzieć, co mianowicie tak go dręczyło. Jedno tylko z tego snu utkwilo mu głębiej w umyśle i rozwinęło się w pojęcie, że żona i łowczanka kamienowały go kawałkami niezdarzonego ciasta i babami z zakalcem. Ktoby go był tej nocy słyszał jak się przewracał na łóżku i jęczał przez sen. byłby go wziął za zbrodniarza, z którym sumienie załatwia jakieś stare porachunki.

Skutkiem tego wstał z okropnym bólem głowy, a gdy zobaczył Marcinka, zapytał go

przedewszystkiem o Mateusza; miał nadzieję, pewność nawet, że zobaczy go przy swoim łóżku zaraz od rana, ale tem przykrzejszy był zawód, gdy się dowiedział niestety! że Mateusz wcale nie przyjechał.

P. Prot myślał, że się przesłyszał, i powtórzył zapytanie, a otrzymawszy kategoryczne tej wiadomości potwierdzenie, stracił zupełnie głowę. Przy kawie o czem innem nie mówił, tylko o możliwych ewentualnościach Mateuszowej wyprawy. Ozy pojechał do domu? czy też bałamuci jeszcze w Włocławku? Zdania były pro i contra; ale nikt nie byłby wziął na siebie odpowiedzialności za skutki jakieby nastąpiły, gdyby p. Prot powrócił do domu tak późno i jeszcze do tego bez sprawunków.

Nareszcie ks. proboszcz, który przyszedł święcić do dworu, zakonkludował, że jeżeli Mateusz pojechał wprost do domu, to się już stało: sprawunki są, i już wszystko jedno, czy p. Prot pojedzie na południe, czy na wieczór. Jeżeli zaś Mateusz nie wrócił, to bez niego powrót p. Protą nie będzie... tak mile widziany, jakby to było w zwyczajnych okolicznościach. W każdym więc razie, zaczekać można śmiało jeszcze chociażby do czwartej, a nawet piątej.

P. Prot uznawszy słuszność tych uwag, postanowił więc czekać jeszcze, ale humor miał już tak zepsuty, że nic go naprawić nie mogło.

Usiadł wprawdzie jeszcze do mariasza, lecz grał jak fuszer, co pierwszy raz karty wziął do ręki. Skupował pamfila na początku gry, bił królem świętym nie czekając na czterdzieści, nie uważał jakie karty wychodziły, słowem po jednej puli musieli przestać grać.

Wstyd go było już nawet okazywać, jak go to obchodzi, i że po prostu boi się pokazać żonie. Jak mógł przeto polityko wał; świstał, bawił się ze Stefcem, który mu szczypał policzki po francuzku, ale co chwila zbliżał się do okien, bębnił w szyby i kłął po swojemu: bodajeś trzysta dębów zjadł! niech cię Ucho nie porwie! kroć sto tysięcy pirogów! Ale ta parodja kłątwy, jak łatwo się domyślić, nie przynosiła mu najmniejszej ulgi.

Tak zeszło do godziny piątej wieczór, i p. Prot kazał już zaprzęgać, gdy w bramie pokazały się konie i bryka, a na niej skulony, zmokły, skrzywiony jak nieboskie stworzenie — Mateusz.

Panu Protowi zabiło serce gwałtownie, i zamiast jakby kto inny zrobił pójść wprost do Mateusza i rozpytać o wszystko, udał że go nie widzi i schował się w kąć jakiś, aby ochłonąć. Ledwo go znaleziono i niemal przemocą przyprowadzono do bryki, na której siedział Mateusz, nie myśląc złączyć. P. Prot stanąwszy przy bryce wziął się pod boki:

— Gdzieś ty siedział — rzekł — trzysta djabłów zjadłeś!... ja czekam, czekam, jak głupi, wyglądam... a tu ani posła ani osła. No! gadajże...

Ale Mateusz niepewną nogą zląził pomaleńku z bryki i ani myślał gadać; dostrzegł tylko \* p. Prot, że był zapłakany i nawet teraz łkał jeszcze.

— Co się zrobiło? ty beczysz?... Jak rany boskie Kocham!... beczy!... co się stało... gadaj zaraz!

Za całą odpowiedź, Mateusz przykucnął przy panu i objąwszy oburącz jego kolana, rzewnie płakał.

— Co to znaczy? czy powiesz dzisiaj? t- zawołał p. Prot niespokojnie, i jakieś niemile przecucie wstrząsnęło całym jego organizmem.

— Ja nieszczęśliwy człowiek... — słyhać było tylko wśród łkania i nic więcej.

Trwało tak z dobry kwadrans, ku wielkiej niecierpliwości p. Komualdego, a niespokojności p. Prota. Nareszcie, po licznych prośbach i groźbach, zaczął mówić, i oto co z jego słów przerywanych szlochami i zaklęciami wymiar-kować mogli.

Gdy odjechał we czwartek, włókł się kilka godzin, bo coś mu się ciągle psuło u woza i u półszorków; musiał wstępować, to do kowala żeby dostać łonu do osi, to do karczmy węglem sznurka do przywiązania czegoś — tak przynajmniej twierdził — słowem, że stanął w Włocławku na samą noc, tak, że z jendo-rami nie było już co robić tego dnia.

Przenocowawszy, w piątek rano zaprzął do wózka i wyjechał na rynek. Skoro tylko się pokazał z jendorami, zaczęły się schodzić jedna po drugiej służące, przekupki, żydówki, słowem, tłum się zrobił i wszyscy oglądali towar. Mateusz, jak mówił, nie wiedział gdzie oczy podziać, ale zdaje się, że musiał przywitać się na czczo z kwaterką, bo (zawsze podług jego opowiadania) jak zaczęto jendory oglądać, targować, w rękach ważyć, a pomiędzy sobą kłócić się szwargotać, to po półgodzinnym takim targu, gdy się obejrzał, ani jednego jendora na bryce nie było. Narobił więc hałasu, udał się na policję, ale nic nie wskórał; jendory przepadły, jakby kamień w wodę wrzucił.

— Bodajże cię najsiarczystsze... pirogi za- trzasły! — zawołał p. Prot, gdy Mateusz po rozlicznych omówieniach, zakończył swoje sprawozdanie. — A cóż się z sprawunkami zrobiło?

— E! gdzie mnie tam w głowie były sprawunki!...— rzekł Mateusz łkając.

— Jaktó! niceś nie kupił?

— A za cóż?

— Mówiłem ci przecie, że gdy będzie potrzeba, dostaniesz na kredyt; dałem ci kartkę.

— Zobaczyłem na śmierć...

— No, patrzcie państwo! to cymbał dopiero!... i dwa czy trzy dni siedział... Cóż, do sęka, robił przez ten czas?

— Chodziłem na ratusz... kazali mi poznawać jeńdory, ale oskubane... djabełby ich poznał!... dwie żydówki wsadzili do kozy...

Nie było co gadać dalej z Mateuszem, który beczał wciąż. Fakt był, że jendory przepadły i sprawunki nie były porobione; to już było dostateczne, żeby ściąć z nóg p. Prota. Ale cóż na to mógł poradzić? pozostawało jedno, to jest przysposobić się na burzę, i jechać. Żeby jednak zyskać jakąkolwiek dywersję, wysłał na pierwszy ogień Mateusza, sam zaś został jeszcze na rezurekcję i dopiero po nabożeństwie, w nocy wyjechał.

Szczęście przynajmniej, że się wypogodziło, i że noc była widna, jak zawsze przed niedzielą wielkanocną, która przypada jak wiadomo, po pełni.

Ale nie tu jeszcze był koniec przygód p. Prota. Wachó z powodu trzygodzinnej stójki przed dworem (bo zajechał był jeszcze przed rezurekcją) w najgorszym był humorze; przytem nie podobał mu się handel z p. Romu- aldym na deresza, a że miał także trochę -w czubie, więc zaciął go często. najniesprawiedliwiej w świecie, albo też zdzierał bez- potrzebnie.

Wywoływało to napomnienia ze strony p. Prota, na które Wacho odpowiadał mruzeniem. Nie dosyć na tem; parę razy jakby umyślnie wjechał w wybój, jakich na tej drodze nie brakowało, tak, że o mało nie wywrócił. Nareszcie chcąc ominąć kałużę błyszczącą z daleka na środku drogi, zjechał w rów ■ i awiażył tak, że konie nie mogły bryki wy- ciągnąć pomimo największych wysiłen.

To już przyprowadziło p. Prota do ostatniej passji. Tyle przejść i przeciwności, wytraciło z pionu jego charakter; co dowodzi, że krew, którą jak przekonałem na początku tego opowiadania, safandula posiada tak dobrze jak zwyczajni ludzie, burzy się w nim niekiedy, chociaż wprawdzie bardzo rzadko i .na krótko. P. Prot powstał na siedzeniu i wziął za łeb Wacha.

— Ty hultaju jakiś... ty, ty... łajdaku, pijaku 1... ty, ty... poczekaj! — wołał p. Prot trzęsąc się ze złości i kręcąc czuprynę Wacha. — Infamis jakiś... miesiąc mu świeci, jak w południe... a on będzie mi w dziury wjeż- djsałL.

— Co mię pan za łeb targa! — rzekł Wacho obruszając Się.

— I jeszcze będziesz hardy! — zawołał p. . Wyprawa p. Prota. 4

Prot do desperacji przywiedziony, a wzburzenie krwi doszedłszy do kulminacyjnego punktu, jak lampa na wypaleniu, zabłysło jeszcze świetniej. — Poczekaj! nie wiem czym mię nazwiesz, hultaju jakiś, jeżeli za powrotem nie dostaniesz dwadzieścia batów odlewanych...- zobaczysz!!... Ruszaj! — dodał już nie z taką furją, tonem jaki w muzyce nazywa się diminuendo — 'weź lejce krótko i wszystkimi czterema razem... nuże!

Wacho wziął lejce krótko, ale uwiązał je u wasąga; następnie zlął z bryki, a podkawsawszy poły u płaszca, przesadził przez rów i ruszył w pole.

— Co on, zwarzawat! — rzekł p. Prot— gdzie ty idziesz?

—W Prusy.

. — Czyś oszalał?... wróc się zaraz!

— Albo ja głupi czekać jak mi pan każe dać dwadzieścia batów...

rr Widzicie go!

— Nie potrzebuję, ' żeby .mi pan zdrowie odbierał...

;•— A to dopiero!... słychaue to rzeczy... wrócisz się czy nie?

— Nie głupim!... Ma urnie pan za moje dobre, włosy ze łba wydzierać i batami straszyc...

. — No, patrzcie państwo!,, za jego dobre!

ty infamisie jakiś... czy to dobrem nazywasz, żeś się upił?

, — Ja się upił?... a kto to panu powiedział... [ ja kieliszka wódki w gębie nie widziałem...

— A teraz, toś pewno nie pijany, kiedy wjeżdżasz w dziury i hece wyprawiasz?

— Ja panu wiernie służę kiej pies, już na t -czwarty rok... a pan za moje dobre, chce mi zdrowie odbierać... — rzekł Wacho płacząc.

— Co ten, beczy znowu!... chodź zaraz, bo : mi już cierpliwości brakuje...

— A baty? — zapyt&ł Wacho becząc ciągle.

— Głupiś!... ja żartowałem... — rzekł p. Prot, już prawie udobruchany, tak był wrażliwy na płacz.

Wacho zbadał widać doskonale charakter safandudy, a mając na sumieniu nie jedno z tych kilku dni podróży, chciał zmazać wszystko za jednym zamachem. Doprowadził więc rzeczy do tego, że p. Prot uroczyście darował mu wszystkie winy, i dopiero wtenczas powrócił do bryki.

Ale nie zaraz wydostali się z błota; ledwo w pół godziny, używszy we dwóch wielkiej biedy, dali sobie radę.

P. Prot przyjechał do domu dobrze już po północy. Jakie było nazajutrz przyjęcie, i jak się p. Prot z tego wszystkiego wykręcił, nie powiem, bom przy tem nie był; domyślam

M



się tylko, że nie musiało mu pójść gładko, bo nie lubił nigdy wspominać o tej swojej wyprawie. Za to, dla wszystkich w sąsiedztwie była przez długi czas materją do rozmowy i żartów, a gdy kto miał przed sobą podróż w interesach wymagających sprężystego działania, mówiono mu: Udaj się do safandudy, on ci to sprawi.

^EK^EACJE ^ZEFIRKA.

W roku 1859, jak zwykle co rok, znajdowałem się dla interesów świętojańskich w Warszawie. Załatwienie ich tym razem, dużo mi czasu zabrało, tak, że dopiero w końcu Lipca, gdy już żniwa, jak mi mój ekonom doniósł, rozpoczęły się w najlepsze, mogłem pomyśleć o powrocie do domu.

Było to, pomnę, w sam dzień św. Jakóba, to jest 25 Lipca; porobiwszy potrzebne do domu sprawunki i poodsyławszy je do mojej stacji w polskim hotelu, szedłem od placu teatralnego koło mennicy, dążąc do mieszkania, w zamiarze przysposobienia się do drogi, na dzień następny. Byłem zadumany, bo rachowałem w myśli opłacone procenta, śniadania dla urzędników i inne wydatki: w tem spojrzawszy machinalnie wprost siebie, ujrzałem kroczącą przedemną niewielką figurkę, w której po pretensjonalnym stroju i ruchach, po kapeluszu włożonym z wdziękiem na czubek głowy i zaczesaniu włosów, a mianowicie, po niezmiernie kraciastych pan- talonach, poznałem kolegę mojego szkolnego,

urzędnika z rządu gubernjalnego pana Zefiryndy < (nazywaliśmy go Zefirkim) Drypcyńskiego. Lu-! biłem go, dla wesołego zawsze humoru i zapasu nowinek miejskich; lecz w tej chwili, myśląc tylko o jaknajprędszym wydostaniu się z Warszawy, nie zaczęciem go, uważając tylko z. daleka.

Z Bielańskiej ulicy skręcił w Długą, zmierzając wprost w stronę znajdujących się tam trzech zajazdów obywatelskich, gdzie i ja dążyłem. Przez drogę przywitał się kilkanaście razy. Przed damami i starszymi urzędnikami, uchylał z uszanowaniem i wdziękiem kapelusza; z poufalemi witał się całusem od ust, z których jeden dostał się jakiejś zgrabnej dziewczynie niosącej sprawunki, z powierzchowności i stroju wyglądającej na pannę służącą: wreszcie nie przepuścił żydkowi kłaniającemu się z miną porozumienia, którego wziął poufale za bródkę.

Wszedł nareszcie do niemieckiego hotelu. Przechodząc koło bramy, spostrzegłem, jak zatrzymawszy się przed kartą, czytał nazwiska stojących tam podróżnych. Poszedłem dalej, mając jeszcze interes do poblizkiego handlu korzennego; załatwiwszy się tam nareszcie i idąc już do siebie, zetknąłem się z nim właśnie w chwili, gdy w bramie hotelu polskiego pytał się szwajcara o moje mieszkanie.

— A, witaj szlachcicu! — zawołał ujrzawszy rańjib' -r- o; wilku mowa.  
..—Zefirek! cóż tu porabiasz? • — Szukam ciebie; dowiedziałem się od Stasia, że jesteś w Warszawie, y "tt Od trzech tygodni.

— #e też nagdzieśmy się nie spotkali...

;—t JPrawda.. Ale tymczasem, kiedyś szedł do mnie to proszę; w bramie nie mamy co robić...

— Z gustem.

Poszliśmy na górę; Zefirek rzucił mi się na szyję ściskając z czułością. Poczęstowałem go. cygarem. Rozkoszny był, paplał jak nakręcona maszynka; ale pomimo to uważałem, że nie był w swoim zwykłym humorze.

Było mnifej więcej południe. .; j—T, Cóż to znaczy — zagadnąłem —że Zefirek o tej godzinie na mieście... Czy nie ze śniadanka?

—Ej, gdzie tam!... prawda, że jestem wolny, jak ptak wypuszczony z klatki... mam rekreację; ale... istotnie, powiedz sam, czy to nie los pomarańczowy... Wystaw sobie, że trzy tygodni temu, był tu nasz kolega szkolny... pamiętasz, z czwartej klasy... Alfons Mroczek... mieszka teraz w Krakowskim. Otóż, zaprosił mię do siebie na wieś, zapewniając, że przyjedzie po mnie w końcu Lipca. Wystarałem się o urlop na 28 dni, który ledwo po wielkich staraniach;

mi udzielono... lecz, cóż powiesz; właśnie gdym go już miał w kieszeni, odbieram list z poczty z czarną pieczętką od Alfonsa. Píše, że mu umarł w Lubelskiem stryj, na którego pogrzeb musiał jechać, a że potrzebuje załatwić interesa spadkowe, przeprasza mię, inwitując do siebie na Wrzesień. Niby ja mogę czekać!... ledwo dostałem urlop, i już drugi raz mi nie dadzą. To się nazywa puścić kogo w trąbę... co! (przepraszam czytelniczki za niektóre wyrażenia Zefirka). Jak gdyby mię z nóg ściał. Wystaw sobie, ja co nigdy w życiu nie byłem na wsi, obiecywałem sobie tysiące przyjemności — a tu. siedz w tym kurzu miejskim, wśród wyziewów z rynsztoków, z urlopem w kieszeni.

Te słowa o kurzu miejskim i wyziewach rynsztokowych wymówił tonem, z którego niktby nie wnosił, że od lat blisko, trzydziestu napawał się niemi, nie marząc o czem innym.

Żal mi się go jednak zrobiło. Przyszło mi na myśl, że bez wielkiej z mojej strony ofiary, mogę go uszczęśliwić. Rzekłem więc:

— Jeżeliś gotów i masz już urlop, to możesz te rekreacje przepędzić gdzie indziej; jedź do mnie.

— Co ty mówisz! kiedy? — zakrzyknął, wlepiając we mnie iskrzące się oczy.

— Jutro. Wybierz się dzisiaj, i przybądź rano na siódmą, to pojedziemy.

Aż podskoczył.

— Brawo! wybornie! kochany Józiczek... a w których stronach mieszkasz?

— W Kujawach.

— Gdzież to jest?

— Nie wiesz gdzie Kujawy?

i— Przyznam ci się... wiedziałem, ale... za Kóremiż to rogatkami...

— Pojedziemy koleją.

f. — Aha! to w Częstochowskiem?

— Zefirku, zapomniałeś geografji... czyż nie wiesz gdzie Włocławek?

— Więc to powiat Włocławski? czemużeś mi nie powiedział. My w biurowości znamy tylko powiaty. Wiem, wiem, nad Wisłą. Ale... za pozwoleniem... kolej w tamtą stronę nie idzie.

Przypominam, że to działo się w r. 1859, gdy nie było jeszcze kolei Bydgoskiej. Objaśniłem więc Zefirka, że dojedziemy koleją do Łowicza, a ztamtąd ruszymy dalej końmi.

— A dalekoż to za Łowiczem? — zapytał.

— Kilkanaście mil, aż nad granicą pruską.

— Co mówisz! nad granicą!... więc będę widział granicę...

Zefirkowi zdawało się, że ztamtąd zobaczy resztę Europy.

Po wielu jeszcze naiwnych zapytaniach, na które odpowiadałem jak mogłem, stanęło na tem, że Zefirek wypakowany kompletnie,

stawi się w mojej stacji nazajutrz rano na godzinę przed odejściem pociągu, którym mieliśmy odbyć podróż.

Wyobrażam sobie, że myśl o tej podróży spać mu nie dała, gdyż o wiele uprzedził umówiony termin — i to całe szczęście; bo przysposobił się do drogi tak niepraktycznie, iż musiałem porobić niektóre modyfikacje w jego upakowaniu. Przybył, gdy leżałem jeszcze w łóżku, ubrany jak na wody, w kapeluszu cylindrze na głowie. Dwóch tragarzy wniosło za nim ogromny kufer, wysoki drewniany, dobrze okuty, w rodzaju tych jakich babki nasze używały do chowania robronów albo firanek. Na okazane zdziwienie z mojej strony, sądząc, że chodzi o ciężar, zaręczył mi, że rzeczy jego zaledwie połowę kufra zajmują, reszta zaś jest próżna; gdy zaś wytłumaczyłem mu, że ani na bryczkę pocztową, ani do powozu się nie zmieści, zafrasował się nie na żarty, myśląc, że z podróży nic już nie będzie. Wybawiłem go z kłopotu, pchnąwszy numerowego po żydka, od którego kupiłem za kilka rubli tłómaczek i w takowy kazałem jego rzeczy przepakować.

Pojechaliśmy przecie na kolej. Za przybyciem, obstąpili nas zaraz posługacze, łapiąc za rzeczy. Zefirek nie jnógł się zdecydować powierzyć swoich; zdawało mu się, że przepadną. Sam poszedł do wagi, skrupulatnie sprawdził numera na bilecie i przylepionej na tłómaczku kartce, — nie podobało mu się, że w razie zagubienia, wracają tylko po rublu za funt, i \$ myśli obrachowywał straty, jakie w tym przypadku może ponieść — myślał już nawet, czyby nie wziąć rzeczy z sobą do wagonu, ale już było za późno; jego tłómaczek wpadł jak w otchłań pomiędzy masy różnorodnych bagarzy: odebrać go nie mógł, bo mu nawet dostąpić doń nie pozwolono, do czego wmieszała się czynnie służba policyjna. Dla naprawienia mu humoru, zaręczyłem, że wypadki zatracenia pakunku są nadzwyczaj rzadkie, a nawet wziąłem na siebie wynagrodzenie mu z własnej kieszeni przypuszczalnej straty.

Usadowiliśmy się nareszcie w wagonie. Zefirek wlaźł zaraz cały w okno, wychylając się na zewnątrz; pragnął żeby wszyscy widzieli, że wyjeżdża z Warszawy. Nie byłbym w stanie opisać wyrazu politowania i wyższości, z jakim spoglądał na wszystkich tych, co pozostawali w mieście. Przez całą drogę do Łowicza, nudził najnaiwniejszemi w świecie zapytaniami: robił spostrzeżenia prawdziwie dziecinne: dziwiła go każda trzoda bydła lub owiec pasąca się na polu, bawił każdy pies goniący lokomotywę.

— Czy będziemy jeździć konno na wsi?

— A jakże! będziemy. Czy jeździsz?

- Na żywym nie jeździłem, ale parę razy j na saskiej kępie karuzelem... ,
- No, to się wprawisz. A lubisz polowanie? i
- Passjami; czy masz strzelbę?
- Mam parę dubeltówek...
- Wieśniaczki ładne w twoich stronach? 1
- Niczego...
- A sąsiedztwa są?
- Nie brakuje; jest kilkanaście ładnych panien.
- Są panny? al to ślicznie. Jak zobaczą warszawiaka... hm!... hm!... Bo trzeba ci wiedzieć, że dla parafianek, warszawiak jest ideałem szyku... wyrocznią w rzeczach smaku...: Uśmiechnąłem się w duszy, ale nie chciałem wywodzić Zefirka z błędu.
- Kto wie? — rzekł poufnie, przysuwając się do mnie — mogę zrobić karierę... Więc mówisz, że są panny.
- Kilkanaście.
- Quelque chose de porzą?
- Naturalnie, a do tego posażne.
- Posażne!... i ładne? — zapytał oblizując się.
- A jakże...
- To dobrze, będziemy tańczyć; ja celuję w lansjerze...

Zefirek pograżył się w złotych marzeniach; widział się już mężem bogatej dziedziczki, miał powóz, konie, liberję, a co najważniejsza, nie chodził już do rządu gubernjalnego; z kilku pytań i przemówień jego do mnie w ciągu dalszej drogi, odgadłem całe pasmo wdzięcznych obrazów snujących się w jego wyobraźni.

. Przybyliśmy do Łowicza, zkąd ruszyliśmy dalej ekstrapocztą. Zefirkowi podobała się z początku jazda, bo pocztyljonowie nasi lubią nie oszczędzać koni, i trąbią bezustanku; ale niezadługo zaczął się poprawiać na bryce i odzywać się z protestacjami przeciwko jej konstrukcji. Wiadomo, że bryki ekstrapocztowe na wszystkich stacjach w królestwie, sławnie trzęsą. Zaprowadzone na jeden kształt w całym kraju, bryki te musiały przejść zapewne przez jakiś rodzaj konkursu, którego zadaniem było wystawienie modelu sprzeciwiającego się wszystkim warunkom wygodnej jazdy. Biada podróżnemu o delikatnych kościach, który nie wzięwszy

jąc, że będzie teraz jechać; wygodniej. W Krośniewicach czekały na nas moje konie z wola-  
lantem na resorach: odpocząwszy więc nieco i przyjadłszy coś, ruszyliśmy w dalszą drogę  
traktem już nie żwirowym. Cały ten dzień było bardzo parno. Ku wieczorowi, na zachodzie  
zaczęła pokazywać się chmura, obiecująca niezwykle burzę. Niebo przybrało brudno  
ołowianą barwę, i zrobiło się tak ciemno, jak po zachodzie słońca; przed uami na czarnym tle  
widnokręgu, błyskały zdała piorunowe wężyki, a głuchy grom, który, jadąc po miękkiej  
drodze słyszeliśmy doskonale, towarzyszył nam nieprzerwanie.

Zefirkowi podobał się bardzo ten wspaniały obraz, póki mógł napawać się nim zdaleka.  
Ale niebawem groźne chmury przybliżyły się, i zerwał się gwałtowny wiatr zapowiadający  
nawałnicę. Ten objaw rozdzasanej przyrody, zaczął oddziaływać na nerwy Zefirka, który jak  
żył, takiej chmury nie widział. Nad Warszawą przeciągają także burze, ale tam nikt ich nie  
spostrzega; każdy, kogo zastanie na ulicy, jeżeli nie zdąży do domu, ucieka do pierwszej  
lepszej bramy, z której widzi tylko c<sup>eschcz</sup><sup>1</sup> słyszy grzmoty, ale nie jest świadkiem całej walki  
żywiółów; Zefirka więc to nowe dlań widowisko zaczęło widocznie niepokoić. Mieliśmy  
parasol, który już rozwinął nad sobą, starając się przede wszystkim ochronić cylinder; ale  
wnet przy-

pomnił sobie z fizyki, że żelazne okucie ściąga pioruny — gdy więc trzasło nie daleko raz i  
drugi, zwinął go pomimo rześistego już deszczu, i schowawszy cylinder pod fartuch, otulił  
się płaszczkiem przykrywszy głowę poleryną. Wówczas zagrała o siebie zowie piekielna  
muzyka: pioruny biły jak armaty w czasie szturm, kilka razy nawet tak blisko, że aż konie  
się strachnęły: a deszcz łomotał w same oczy. Zefirek prosił na miłość boską, aby zajechać  
gdzie do oberży; byłbym sam na to chętnie przystał, bo pomimo doskonałej burki, której  
kaptur nasunąłem na oczy, zmokłem już do nitki; ale jak na złość, burza napadła nas w  
miejscu, gdzie trakt nie przechodził przez żadną wieś większą i do najbliższej karczmy było  
jeszcze kilka wiorst. Zdesperowany więc wlaź cały pod fartuch, tłukąc mnie po nogach, i  
jęcząc za każdym stuknięciem kół o kamień.

Dobiliśmy przecie do oberży; gdy wjechawszy pod dach, wyciągnęliśmy z pod fartucha  
Zefirka, wyglądał jak nieboskie stworzenie, a jeszcze smutniej jego kapelusz, na którym sie-  
dział w tem schronieniu przez cały czas burzy. W domu stanęliśmy w nocy, a raczej  
nadedniem. Zefirek przeklinał tę pierwszą próbkę przyjemności wiejskich, a wypiwszy parę  
szklanek herbaty, położył się w łóżko i spał do godziny pierwszej w południe.

Używszy wczasu do woli, gdy wstał z łóżka, zapomniał o przykrościach dnia poprzedzającego, pomimo bólu pozostałego w kościach. Po deszczu i nawałnicy, nastąpiła prześliczna pogoda, powietrze pachniało; Zefirek zaledwie otarłszy usta po śniadaniu, wybiegł na świat, pomiędzy gumna gdzie zwożono żyto, do ogrodu, w pole. Cieszył się wszystkim i dziwił najmniejszej rzeczy jak dziecko; ludzie spoglądali nań jak na raroga, tak naiwne robił im zapytania.

Nie skończyłbym, gdyby mi przyszło wyliczać przygody, jakie go spotkały skutkiem zupełnej nieznajomości wiejskiego trybu życia. Przedewszystkiem pragnął spróbować wierzchowej jazdy; zdawało mu się, że dosyć jest dostać się na konia, aby jechać na nim: kazał sobie okulbaczyć swojego wierzchowca, ale gdy nie dosiadłszy nawet jeszcze siodła, zleciał na drugą stronę niepokojącego się siwka przez nie zachowanie równowagi, zaczął ostrożnie tę rzecz traktować. Odtąd każdy koń zdawał mu się nadto bystrym, z niedowierzaniem badał jego ruchy i za lada parsknięciem odskakiwał na kilka kroków. Wybrał sobie nareszcie najspokojniejszą jaką mógł upatrzeć szkapę fornalską i wygramoliwszy się na nią przy tysięcznych ostrożnościach z pomocą dwóch ludzi, uroczystym krokiem otfjeżdżał podwórze, pozwalając kobyle skubać trawę po drodze, bo nie miał dosyć

odwagi cywilnej do poskromienia tej swawoli.

I tu jednak niewinna rozrywka nie obyła się bez tragi-komicznego wypadku: raz bowiem zachciało się improwizowanej wierzchowce wleźć w sadzawkę. Napiwszy się do syta w czem jej Zefirek nie przeszkadzał, zaczęła uderzać noga w wodę, co jak wiadomo jest objawem ochoty do użycia kąpieli. Opryskiwany błotem Zefirek niecierpliwił się i zabierał do odwrotu, ale z takim brakiem energii że kasztanka za nic sobie wając jego usiłowania, położyła się bez ceremonji, przyciskając sobą nieszczęśliwego jeźdźcę, który wsparty na łokciu nos tylko pokazywał nad zdradliwym żywiołem i byłby się opił niewątpliwie brudnej wody, gdyby nie prędko pomoc fornała, znajdującego się szczęściem w pobliżu. Zmoczony i zestraszony wy- przysiągł się jazdy wierzchowej i przejażdżki odtąd odbywał biedką na dwóch kołach, służącą do posyłek. Nauczył się nawet sam konia zaprzęgać, a gdy raz nie dobrze przymocował dyszle, te odczepiwszy się od konia poszły nagle w górę, a korpus biedki na dół; gdy zaś Zefirek zmieszany tym niespodziewanym wypadkiem podał się w tył, cały wehikuł przewrócił koziółka, przykrywszy go sobą jak klatką. Ekonom mój wyjechawszy w pole, spotkał go w tej niewygodnej pozycji, jęczącego z bólu, bo się potłukł nie na żarty.

Rekreacje Zefirka.

Wypadek ten zraził go zupełnie do koni i wszelkich przejażdżek, a natomiast przeobraził] w myśliwego. Skagtował sobie parą, złotemi starego Tomasza, pełniącego u mnie obowiązki! lokaja i strzelca, i zaczął brać od niego lekcje] nabijania i obchodzenia się z bronią; strzelał] od rana do wieczora i wypuść mi prochu nie-] mało, a raz o mały włos całych gumien nie spalił, strzelivszy do wróbla na dach stodoły. Od tego czasu, ostrożniejszy, strzelał na polu j za ogrodem, ale nie mogąc nic zabić, najeżę- i] ściej obywat się samym prochem, bo go bawiło] pukanie.

Tak pędził dni Zefirek w domu; po zaj domem, jeździł ze mną do kościoła i w sąsiedztwa. Pierwszej zaraz niedzieli po przybyciu,] pojechaliśmy na nabożeństwo do parafjalnego kościoła. Oprócz mnie, dwóch sąsiadów bezzen- nych, dwóch małżeństw, z których jedno bezdietne, a drugie cieszące się kilkorgiem kon-j solacji jeszcze nie dorosłej, należały do parafji dwa domy, mające panny na wydaniu: państwo, radzcostwo (sam był radcą dyrekcji ubezpieczeń)^ Góronoscy z Kozłowej Woli i państwo Wydzier-j kowscy z Piliszkowa.

Zefirek zobaczył naraz całe sąsiedztwo.] Był olśniony, nie widział nigdy razem tyle ekwipażów czterokonnych; przypomniał mu się ślub jakiś u Kapucynów w Warszawie przed kilku laty, którego parada uderzyła bardzo jego wyobraźnię. Państwo Góronoscy z panną Olim- pją przyjechali nową karetą w cztery konie szpakowate nie osobliwe, ale rosłe i w szory angielskie przybrane, zatem dla Zefirka bardzo okazałe. Na koźle siedział stangret w długim angielskim surducie granatowym z złotemi her- bowemi guzikami, w czapce z złotym galonem i białych rękawiczkach. Karetę zastaliśmy już przed kościołem. Obok niej stało lando oszklone państwa Wydzierkowskich, widoeźnie odnawiane, bo kształtem zdradzało dawniejsze pochodzenie; istotnie też kupione było na licytacji, czy wzięte w długu od kogoś. Woźnica miał na sobie płaszcz szaraczkowy z białymi guzikami. z cyfrą W. Przechylony na koźle rozprawiał o czemś z stangretem państwa GóronósMch, który siedział wyprostowany i z góry spoglądał na kolegę. Dalej stał staroświecki powozik państwa Starzyckich, stadła w podeszłym już wieku, bezdietnego, oraz jeszcze jeden powóz i parę »: bryczek nie odznaczających się niczem szcze- gólnem. W chwili gdyśmy zajeżdżali przed kościół, z przeciwnej strony nadleciał pędem wolant świeży warszawski, zaprzężony w cztery konie dobre wilczate, w pocztowych chomon- tach; obie czwórki stanęły równocześnie przed bramą cmentarza, a furmani nasi jak na komendę palnęli z biczów; Zefirek był zachwy-



eony. chociaż mój Marcin w zbytecznym fer-1 worze, zwijając bicz zrzucił mu czapkę z głowy- \ Z wolantu wyskoczył sąsiad mój pan Anastazy, ] majątny kawaler na wydaniu, cel westchnień kilku panien i machjawelskich zabiegów tyluż matek i ciotek.

Po zapoznaniu z nim Zefirka, weszliśmy do kościoła, trafiwszy na chwilę, gdy ksiądz proboszcz po kazaniu schodził z ambony. Prze- eisnąwszy się przez tłum ludzi, umieściliśmy się w prezbiterjum w ten sposób, że mieliśmy na oku pryncypalne ławki, zajęte przez kobiety.

Państwo Góronoscy z córką Olimpią, panną już dwudziestokilkoletnią, wdzięków nie osobliwych i nieco już przewiedłych, ale bardzo dystygowaną, siedzieli w ławce ozdobionej wypłowiałym baldachimem i umieszczonej po prawej stronie ołtarza. Obie panie modliły się przykładowo z książek, których kilka leżało przed nimi, i ,parę razy tylko rzuciły na nas spojrzeniem, w którym jeżeli była ciekawość., to tak zobojętniona przyzwoitością formy, że jej widać nie było. W ławce stojącej po drugiej stronie prezbiterjum pod amboną, rozpięta się pani Wydzierkowska Tuzinkiewiczówna z domu i jej dwie córeczki. Prawo do siadania w tej ławce nałżył p. Wydzierkowski wraz z Piliszko- wem kupionem przez licytację; przedtem zajmował ją kto chciał, od lat kilku bowiem Pi- liskowo nie miało dziedzica; ale nowy nabywca, jako były wójt gminy biegły w wynajdowaniu środków uprawomocnienia wszelkiego nabytku, a nie ufający zbytecznie własnej powadze, kazał dorobić kluczyk do zamykania ławK przez co jego panie, były już pewne dystygowanego miejsca w kościele. Fisia i Nasia, to jest Feliksa i Natalja, były to sobie dziewczęta młode, lat siedemnastu i ośmnastu. zdrowe, przystojne, a nawet ładne, ale tą ładnością przedpokojowi, która zachwyca tylko w; pannach służących; mogłyby się pomimo to podobać, gdyby nie nieszczęśliwe wzięcie i grube czerwone rączki. Wad tych jednakże w tej chwili nie było widać, a nawet rączki w paljowych rękawiczkach wyglądały bardzo schludnie. Młodych tedy reprezentantek płci nadobnej obywatelskiej znajdowało się trzy w kościele. Dla Zefirka były one wielką dystrakcją w nabożeństwie: nawzajem Fisia i Nasia, a nawet i mama, widząc obcą w parafji figurę, z natrętną ciekawością zwracały ku nam spojrzenia, pomimo wielkiego namaszczenia do modlitwy, jakie affektowały. Zauważyłem przecież, że świeże wdzięki panien Wydzierkowskich, nie tyle robiły wrażenia na Zefirku, co dystynkcja panny Ohmpji.

Po skończonem nabożeństwie, Zefirek wytłoczył się najpierwszy z kościoła, ażeby przej- rzeć się pannom zblizka, i zabrać znajomość.

Niefortunnym wszakże trafem, nie miał go kto? zaprezentować: mając bowiem wraz z Anastazym interes do proboszcza,, poszliśmy obaj do za- krystji, chcąc się z nim rozmówić, gdy się- rozbierze po mszy. Wyszedszy z kościoła, zastaliśmy Zefirka melancholicznie spoglądającego' za odjeżdżającymi powozami.

|1! Cóż dzisiaj robisz z sobą? — rzekł do- mnie Anastazy.

— Sam nie wiem jeszcze — odpowiedziałem spoglądając z pod oka na Zefirka — zapewne będę w domu...

— Jedź do Góronoskich na herbatę, ja tam będę także...

Zefirek się przysunął słysząc tę rozmowę.

— Nie zawadziłoby — rzekłem — nie byłem tam od czterech tygodni. Ale nie mogę sam decydować, mam gościa. Zefirku, nie pojechałbyś ze mną do Kozłowej Woli?

— Do państwa Góronoskich?... z gustem! — rzekł z pośpiechem — ja do gotowego. Zaba- wiemy się... co? — dodał zwracając się do Anastazego.

— Nie wątpię — odrzekł tenże, przypatrując się z komiczną powagą pretensjonalnym ruchom Zefirka.

Stanęło więc na tem, że się wieczorem zobaczymy, i rozjechaliśmy się każdy w swoją stronę.

Przez całą drogę do domu, Zefirek nudził mię zapytaniami o dom państwa radcostwa.

— To porządni jacyś ludzie, ci Góronoscy. słowo daję... co?

—^ Jak widziałeś.

— Mają szyk, prawda?

— Prawda.

— Jaka parada!... karetą nowa, konie, libe- rja... fiu! fiu!... nie idzie dalej.

Potwierdziłem mruknięciem.

— Panna... wcale tego... no!... to jest... do krzyżującej piękności nie może mieć pretensji... ale szyk bije w oczy... słowo daję... — i pogrążył się w dumaniach, które przerwało stuknięcie koła o kamień. To go zwróciło na ziemię. — Muszą żyć porządnie; szampelra dają?

— Jak kiedy i dla kogo.

— No! mając w domu warszawiaka... rom to,' rom to rrom... szampipi wyjedzie, jakbym widział... tra ti te di...

Zefirek przyśpiwywał sobie przez całą drogę. Widocznie snuły mu się wdzięczne obrazy, układające mu się w podwalinę różowej przyszłości. Wyobrażał sobie zapewne, jak zostawszy mężem p. Olimpijki będzie zadawał szyku.

— Tamci starzy, co tą dryndą przyjechali, to widać sałata...

■ '— Co to jest sałata? — zapytałem naiwnie\*, -

przyznając się do niezupełnej znajomości idjo- tyzmów Zefirka.

— Sałaciarze — rzekł w sposobie objaśnienia — za grosz szyku!... on sam, widać, szłaga ordynaryjny...

— Nic nie mówisz — odezwałem się po chwili nakręcając rozmowę — o pannach Wydzierkowskich, które jakoś dosyć na ciebie spoglądały...

— A! te dwie rumiane — odrzekł obojętnie — e! to wcale co innego, zaraz znać... parafianki...

— Nie podobały ci się? szkoda, dosyć ma- jętne.

— Majętne?... nie gadaj... no<sup>1</sup>, ale tamta przecie... panna... jakże na imię pannie Góronoskiej?

— Olimpja.

— Szyk imię... słowo daję... aż miło! Spodziewam się tedy, że panna Olimpja jeszcze majątniejsza.

— Naturalnie, jedynaczka.

— A widzisz; nie ma porównania.

Po przybyciu do domu, przez cały czas aż do wyjazdu na ową wizytę, Zefirek zajęty był sobą. W największy kłopot wprawiły go wąsy, które zapuścił od chwili wyjazdu z Warszawy, a które wyglądały obecnie pod nosem, jak plama nieokreślonego dobrze charakteru. Zgolić czy nie zgolić? Rozwiązanie tego problemu, było w tej chwili dla Zefirka kwestją pierwszorzędną. Po głębokich tedy studjach we wszystkich zwierciadłach i lusterkach, zdecydował się nie golić, rezultatem bowiem studjów, było dopatrzenie w fizjognomji pewnego wyrazu niewypowiedzianie obywatelskiego.

Ale niestety! wiadomo, że twórcy największych nawet pomysłów miewają zawsze swoje chwile zwątpienia; taką miał i Zefirek wsiadając do powozu. Bez względu, że postanowienie jego było owocem głębokiej rozwagi i wszechstronnego a sumiennego rozpatrzenia się, nie był pewny w tej chwili, czy jego wąsy dobrze się wydadzą! Ta myśl popsła mu humor na cały wieczór i sparaliżowała siłę moralną. tak niezbędną do zaprezentowania się z szykiem w salonie.

Pan radca Góronoski. do którego domu jechaliśmy w odwiedziny, był ultra-arystokratą, jeżeli nie z prawa przyrodzonego, to z przekonania. Wierzył mocno w wyższość swoją i posłannictwo, a mając się za arcykapłana idei, stał się tej wiary swojej fanatykiem. Fanatyzm ten najniewinniej w świecie zrobił zeń śmiesznego oryginała; bo pomnąc zawsze na to, że powinien godnie nosić nazwisko Góronoskich po przodkach odziedziczone, zadzierał nosa tak, jak i nie śniło się zapewne żadnemu z poczci-

wych jego protoplastów, szlachty zwyczajnej, ■; jakiej u nas było tysięcy.

Ale z kąde to wynoszenie się, to poczuwanie do misji, to zadzieranie nosa, nie mówię już względem plebejusów, ale wobec ludzi, równych mu pod każdym względem? — oto ztąd, że stryj pana radcy, zmarły bezdzietnie, brat rodzony jego ojca, będący przed r. 1794 starostą, został później hrabią, do którego to tytułu młodsza linia nie miała żadnego prawa. Otóż gdyby p. radca był także hrabią, ludzieby o tem wiedzieli, i on sam byłby może zupełnie innym; ale ponieważ nie każdy znał heraldykę, a dzieje nieszczęściem tę okoliczność przemilczały, okazywała się potrzeba przypominać co chwila wszystkim, że jedna linja Góronoskich miała tytuł hrabiowski i że niewiele brakowało, aby i druga dostała tego zaszczytu. Pan radca był pół-hrabia, a skutkiem tego postępował tak, jak postępują wszystkie istoty połowiczne, pół- ludzie. Wszakże człowiek cały nie wynosi się z tego, że jest człowiekiem.

Pretensje p. radcy w stosunkach z towarzystwem, były po za możliwem kołem wymagań. co pomimo jego prawości i uczciwości, robiło mu wiele nieprzyjaciół. Jakoś ludzie są już tak stworzeni, że każdy przy najskromniej- szej nawet dozie zarozumienia. ma dobre o sobie wyobrażenie, i nie rad widzi się niższym od kogoś, zwłaszcza jeżeli ten ktoś wyższością swoją pluje mu w oczy. Jakiejż to znakomitości, a obok tego jakiego daru jednania sobie serc potrzeba, aby być postawionym na piedestale, i uznanym głośno za wyższość; a p. radca ni ztąd ni zowąd miał tę pretensję. Ponieważ zaś tak być w żaden sposób nie mogło, więc dla zadowolenia miłości własnej, wmawiał w siebie, że tak jest i tę wiarę swoją we wszystkich radby był przelać. Jednego tylko nie przypuszczał nawet w formie" najodleglejszej hipotezy, to jest. że był śmiesznym, i że to o sobie rozumienie uczyniło go rodzajem pedanta nieznośnego w obcowaniu; bo chociaż wszyscy znajdowali go zabawnym, to przecież nie wypadało się śmiać z człowieka, co... mógł być zostać hrabią.

Drugim punktem, na który nie chciał się zapatrywać tak jak należało, była kwestja przyczyn sprowadzających nieład i upadek w jego gospodarstwie. Pan radca był rzeczywiście dosyć wysoko wykształcony, chociaż nie tyle znowu, jak sam sobie przyznawał. W młodości odbył podróż w celu naukowym i zwiedził najslawniejsze gospodarstwa zagraniczne, z kąd wywiózł wiele wiadomości i mnóstwo notat. Ale jakże z nich skorzystał? Pisał artykuły do pism rolniczych. a nie byłby w stanie powiedzieć, co się dzieje w jego własnem gospodarstwie; znał

zasady agronomiczne, a nie umiał ich zasto-<sup>\*</sup>sować w praktyce; wiedział ile ziarn nieomal;! każdego zboża wysiewa się na móg, a ślepym ■ był na to, że przy każdym siewie kradną go I niemiłosiernie urągając najbezczelniej nauce;® gdy zaś rozbierał w Rocznikach gospodarstwa I krajowego, kwestję żywienia inwentarza, woły I jego własne drągami podnosić musiano. Gospo- | darstwo tedy pana radcy, pomimo wysokiego\* jego wykształcenia szło jak najgorzej, a w czym I tego przyczyna? otóż w tej właśnie chorobliwej fl przesadzie wyobrażeń, która często u nas po- j jęcia najczystsze zaraża i mąci. Jest w naszymi języku nie wiedzieć dla czego zaaklimatyzowanej przysłowie: „Stań się k... na lat kilka, a zro-l bisz majątek". Przysłowie to w ustach wielu. I stało się bronią obosieczną, wyrazem dwulicowej I jakiejś filozofii, która jeżeli z jednej strony I potępia to, co istotnie godne potępienia, toj częściej za to jest wymówką lenistwa, zbytków fl i zaniedbania obowiązków, prześladowaniem I ducha pracy i oszczędności. Jak tu szlachcicowi I z dziada i pradziada stać się... ezterma litera-i mi... nie sposób! wszakże przysłowia są mą-| drością narodów, a to które przytoczyłem, teml łatwiej trafia do przekonania że ma, machja-l welskie znaczenie. Ztąd wielu tak w nie wierzyJ że wolą stracić majątek, aniżeli go się dorobić J a to wszystko dla tego, aby ich nie posądzono,] że zostali... tem, czem mogą zostać kiedyś z powodów zupełnie innych. Nie przesadzę wiele, utrzymując, że to nieszczęsne przysłowie, stało się przyczyną upadku większej części fortun szlacheckich. Wierzył w nie także i p. radca, a wierzył po swojemu, to jest do fanatyzmu; bez względu zatem, że w interesach stał źle, robił wszelkie możliwe wysiłki, na utrzymanie reprezentacji odpowiedniej nie majątkowi, lecz stanowisku... na nieszczęście urojonemu.

Takim był pan radca Góronoski, do którego domu jechał Zefirek, kołyszający się w najlepszej wierze marzeniami... czy podobnemi do ziszczenia? wątpię aby wierzył w to czytelnik, urobiwszy sobie postać ojca panny Olimpji, podług tych kilku słów jakie o nim powiedziałem.

Nie będę opisywać przyjęcia i zabawy tego wieczoru; opis ten byłby tak nudny, jak dom i towarzystwo państwa Góronoskich, które, jak usilnie starał się o to p. radca, miały swoją indywidualną barwę, odpowiednią jego przekonaniom. Następstwem tej indywidualności były nieznośne nudy dla gościa, przymuszonego słuchać nieskończonych warjacji, śpiewanych wiecznie na jeden temat, którym było własne ja gospodarza domu. To ja stawało się osią rozmowy, w ciągu której trzeba było dowiedzieć się koniecznie, a jeżeli się wiedziało, to usłyszeć powtórzone dla pamięci, jako rodzina p.

radcy już w XVI wieku znaczyła wiele w swoich powieściach, jako każdy z jej członków był czło-1 wiekiem wyższym, bo słabości nie znano w tym domu... prerogatywa, którą we krwi odziedziczył p. radca, mąż bardzo uczonej, znający na palcach, historię i wszystkie systematy filozofii-] czne, na gospodarstwo rolne zapatrujący się z nader wysokiego stanowiska, wreszcie człowiek,] który o włos nie został hrabią. Wszystko to, i na podziw zręcznie, nawiasowo, wtrącał w rozmowę. skutkiem czego gość przestawał się] dziwić ślepego fanatyzmowi jego dla tradycji] I i wstrętowni do wszelkich idei nowatorskich, dowiadywał się niechętnie szczegółów, którychby nie wyczytał w żadnej kronice ani rozprawie! | historycznej, wreszcie przekonywał się dowodnie j I że przyczyna lichego gospodarstwa, jakie było! w oczach dziurawymi dachami i chudymi inwen-j tarzami, pochodziła nie z nieznaności rzeczy,] lecz z materialnej niemożności p. radcy, a głównie z nieszczęśliwych okoliczności.

Na wzór gospodarza domu, siłą despoty-] cznej jego woli — bo tacy ludzie są zawsze] despotami — urobiona była jego żona i córka a można się więc domyśleć, że ta barwa domowa, oddziaływała bardzo niefortunnie na Zefirka; czuł; się przygniecionym, zmagnetyzowanym tem] przyjęciem pełnym protekcyjnej godności] Wobec tego szyku prawdziwie majestatycznego] czuł się nader małym ze swoim szykiem warszawskim. Ale cóż z tego wynikło? — oto, że p. radca zyskał jeden głos więcej przeciwko sobie; co, jak na człowieka wyższego, za jakiego chciał uchodzić, przynajmniej było bardzo niezręcznie. Ale bo też wyższość prawdziwa, byłaby się starała przygarnąć i podnieść do siebie człowieka nawet tak małego jak Zefirek, a zetknięcie to, wywyższając go w wła- snym przekonaniu, musiałoby wpłynąć nań moralnie. Pan radca zaś, bolejąc ustawicznie nad rozdziałem opinii i brakiem uznania prerogatyw jego kasty, własną ręką powiększał przepaść dzielącą ludzkość na oboje; prawy katolik, bo przepisów swej wiary trzymał się gorliwie, działał wbrew najpiękniejszej zasadzie chrześcijaństwa — miłujcie jedni drugich.

Jak o tem wszystkim myślał Zefirek, nie wiem; ale w rezultacie wypadło, że gdy po herbatce okraszonej jakąś lekką kolacyjką, w której było więcej zastawy niż przyprawy, wyjechaliśmy z Kozłowej Woli, Zefirek dał mi w kilku słowach do zrozumienia, że mu się ten dom nie podobał i najmniejszej nie ma ochoty do ponownego odwiedzin i znajdowania się w towarzystwie, z którego mógł być wiele skorzystać, gdyby chciano tego.

Drugą wynikiem naszej wizyty, była chęć Zefirka poznać bliżej panien Wydzier-

kowskich, które spodziewał się znaleźć daleko! przystępniejszemi, niż panna Olimpia. Męczył 1 mię ustawicznie przez kilka dni, ażeby z nim i jechać do Piliszkowa; nie bywałem tam oficjal- • nie dla powodów, które czytelnik zrozumie, gdy go zapoznam bliżej z tym domem; ale tak mię znudził awojein naprzykrzaniem się, i że postanowiłem wreszcie zawieźć go raz, aby potem mógł sobie, ' gdyby mu się podobało, ' bywać bezemnie.

O rodzinie Wydzierkowskich nie wiele mam do powiedzenia. Jej głowa pan Fabjan. był onego czasu nauczycielem wiejskim vulgo bakalarzem i zastępcą wójta gminy w majątku jednego z moi^h krewnych. Następnie ożeniwszy się z panną Tuzinkiewiczówną osobą wątpliwych kolligacji i wychowaną gdzieś za piecem, lecz mającą kilka tysięcy złotych posagu, został aktualnym wójtem. Jakiemi sposobami, korzystając z tej posady i kapitaliku żony, robił pieniądze, kronikiby trzeba pisać; tyle tylko powiem, że w mętnej wodzie łowiąc, ' dorobił się nadspodziewanie. Nie rzucając wój- towstwa wziął dzierżawkę nie wielką, później większą, wreszcie krótko przed r. 1859 dochrapał się już dziedzictwa Piliszkowa. Dewizą jego było przysłowie: „co na placu to nieprzyjaciel", a zasadą w postępowaniu: drzyć łyka gdzie się da, i ze wszystkiego ciągnąć korzyści bez względu na środki; żeby zaś dać czytelnikowi wyobrażenie, jak biegłym był w ich wyszukiwaniu, przytoczę jeden dosyć charakterystyczny, o którym rozповідаła w swoim czasie cała okolica. Trzymając dzierżawę, sąsiedował z wsią ludną zamieszkałą przez samych gospodarzy włościan; ludzie ci, jak to u nich we zwyczaju, lubili robić szkody w pastwiskach, łąkach i zagajnikach. Otóż p. Wydzierkowski w pobliskości ich granicy zostawiał zawsze jaki kawałek pola odłogiem niby na pastwisko, a rzeczywiście na łąpkę. Sposobność była zbyt ponętną, aby raz po raz nie znalazły się tam konie, bydło lub owce panów gospodarzy; ale, niestety, w danej chwili najniespodziewaniej z pobliskich krzaków lub rowu ukazywał się p. Fabjan lub ktoś z jego ramienia tam zasadzony, i zajmował bydło ze szkody, a pan wójt sam sobie wymierzając sprawiedliwość, darł szkodników niemiłosiernie, ściągając z nich bajeczne kary. Najchętniej zaś zajmował owce, bo z nich zabierał sobie za szkodę podług, własnej taksy jedną lub parę sztuk, i tym sposobem tanim kosztem doszedł wkrótce do niezłej gromadki.

W papierach pozostałych po moim krewnym, w którego majątku jako nauczyciel i wójt gminy rozpoczął p. Wydzierkowski swoją karierę, znalazłem list jego własnoręczny, da-  
Rekreacje Zefirka.

jący doskonałą miarę kwalifikacji p. Fabjana na te oba urzędy. Był to rodzaj prośby, pisanej wkrótce po ożenieniu się pana zastępcy a jeszcze naówczas wójta, w której prosił o protekcję swojego krewnego. Mówił w tym piśmie między innymi, że „lubo dopełnił stan małżeński z dnia tego a tego, w obawie jest atoli,] aby swej żony i siebie przez brak potrzeb w nę-1 dzę nie wprowadził.” Albowiem nie miał nici przeciwko posadzie nauczyciela, która „widziała mu się nie najgorszą”, tylko „jej pensję uważał na niedostateczną”. Pragnąc więc zapewnić sobie „większy sposób na utrzymanie”, upraszał dziedzica, aby ten raczył „pełniąc obowiązki wójta gminy łaskawie pozwolić wierzyć. „Nie mając nic więcej w duchu”, dodawał, „jak tylko stać się dogodnym i po słusznym osobie j. w. pana, oraz zasłużyć na] wiarę i dobrą opinię”. Ponieważ zaś chodziła mu o to, aby mieszkał w drugiej wsi także! do krewnego mego należącej, ludniejszej, gdziekolwiek nie był tak na oku, w ten sposób zakończył! „Nadmienić i to ośmielam się, że z Topoli do Topólki do załatwienia interesów trudno byłoby co moment uczęszczać, gdyż jest dużo do pracy. Jeżeli więc łaska j. w. pana dozwoli mi dźwignięcie pomienionego obowiązku, naówczas i propinacja Topoli lepszy skutek odebrać będzie mogła, bo każdy człowiek, któryby mógł mieć interes do mnie, niezawodnie do karczmy wstąpiłby. Bacz więc j. w. panie litość nademną i opiekę, bo nie na ten cel dopraszam się, abym czynił jakie szacherki, jedynie tylko za sprawiedliwością, na stosowne utrzymanie”...

Pomijając już błędy gramatyczne nie do darowania nauczycielowi, logika listu a przytem drażliwość w przewidywaniu ewentualnych posądzeń, nie przemawiała zbyt mocno za moralnością przyszłego wójta. Bez komentarzy zatem dokument ten może być uważany za materiał do jego historjografji.

Oboje państwo Wydzierkowscy dobrali się pod względem zgodności pojęć, a tak byli znani z chciwości swej i skąpstwa, że gdy raz byłego wójta, a natenczas już dziedzica, spotkała ze strony kogoś oszukanego przezeń haniebnie, obelga, jaka tylko krwią zmyć się daje, żyd jeden z pobliskiego miasteczka, znany dowcipniś, odezwał się, gdy robiono wnioski o następstwach tego wypadku: „Ny, oni takie skąpe, że i to schowają”.

Jednego dnia tedy pojechaliśmy do Pilisz-kowa. Rezydencję pp. Wydzierkowskich stanowił domek a raczej chałupa stara, zapadła, z oknami po nad samą ziemią, przerobiona na dwór ze starej kuchni, bo mieszkanie dawnych dziedziców zniszczył był ogień przed dwoma laty. Stanęliśmy tam przed wieczorem. Dojeżd-



fi

84

dżając spostrzeżliśmy z daleka, jak pan domu- na pół ubrany, w słomianym kapeluszu i kitlu płóciennym, uciekał na nasz widok od gumien, i jednocześnie gdyśmy zajechali, wpadł od tyłu przez kuchnię do domu.

Nikt nie wystąpił na nasze spotkanie; weszliśmy przeto sami do niskiej brudnej sieni, salon.

im

85

aapstrzonych przez muchy ramach, potwornie karykaturującego odbijające się w niem rysy, dwa dzieła sztuki uderzały każdego i wzbudzały podziw uwielbienia. Jednem była ogromna donica stojąca na podłodze, napelniona ziemią, w której utkwiony był wielki jakiś kwiat czy drzewo fantastyczne z kolorowego papieru. Na gałęziach tej zagadkowej roślin\

którego zmęczyłem się oganianiem od much; znajdujących się w wielkiej mnogości i nader natarczywych, wyszedł nareszcie do nas pan domu. widocznie wypchnięty przez kobiety, bo dopinał jeszcze kamizelki, a drzwi zatrzasnęła za nim jakaś niewidzialna ręka.

Po zapoznaniu go z Zefirkiem i półgodzinne m zamienianiu jednosyllabowych uwag o pogodzie, żniwach, wreszcie protestacji mojej przeciwko muchom, które mnie już do wściekłości doprowadzały, drzwi się otworzyły i weszły panie.

Gospodyni domu wystrojona była tak pretensjonalnie, że obejrzałem się mimowoli na ścianę z wątpliwości, czy nie zstąpiła z lanseafta ciotka p. Fabjana; toalety panien grzeszyły także zbytkiem smaku. Po przywitaniach, prezentacjach, ukłonach i dygach wzajemnych, zaczęła się rozmowa. Żałuję bardzo, że nie mogłem jej stenografować; zapamiętałem wszakże urywek, który jako miarę całości przytoczę.

— Pan przyjechał z Warszawy? — spytała pani zwracając się do Zefirka.

--- Tak jest, pani dobrodziejko.

Niezawodnie kolejom, •rr Koleją, do Łowicza. — My także raz jechaliśmy kolejną - odej zwała się Fisia.

— Śliczna jazda! — dodała Nasia z rodzą\* jem ekstazy.

— Nic się panu nie bojały — rzekła matka. — Ja, bo się bojałam, o mało nie dostałam apokłepsji. Do tego, zła byłam okropnie na męża.; jak wziął panu maradci na popasach i nocligach, tak bez to spóźnilim się do Łowicza. Jakiem weszli na weksel, akurat lewatywa odeszła. Mąż woła: panie kolektor! panie kolektor! ale gdzie tam! nie chcieli panu stanąć.

Użyłem całej siły, żeby zachować się serjo, Zefirek zaś osłupiał. Nie zbyt obeznany z kolejami, nie mógł od razu wpaść na myśl, że była mowa o foksalu, lokomotywie i konduktorze.

W tej chwili drzwi otworzyły się, i brudna bosa dziewczka wniosła na tacy butelkę wina, trzy kieliszki i dwa talerzyki, z których na jednym coś nakształt gruszek osmażanych w miodzie, na drugim miałki cukier. Dziewka postawiwszy ostrożnie tacę na stole przed kanapą, pocałowała a raczej pośliniła każdego z nas po rękę, a potem uciekła jakby ją kto gonił, dudniąc piętami po podłodze aż się meble trzęsły.

Gospodarz nalał kieliszki i wzięwszy jeden trącił w nasze, mówiąc: — Zdrowie panów dobrodziejów.

Idąc za jego przykładem, przytknęliśmy

kieliszki do ust, ale jednocześnie zmuszeni byliśmy skrzywić się i postawić je napowrót na stole; i wtenczas domyśliłem się jasno przeznaczenia cukru, którego przyznam się odgadnąć z razu nie mogłem.

Spostrzegła to czujna gospodyni:

— A może panowie cukru. Mężu podaj.

Ale o dziwo, cukier znikł, — tak się przynajmniej na pierwszy rzut oka zdawało; atoli za bliższym zbadaniem rzeczy okazało się, że zgłodniałe muchy tak obsiadły talerzyk, że na czarnej tacy nic widać nie było. Gospodarz machnięciem dłoni złapał całą garść naprzykrzonego owadu; drugą zaś ręką podał nam oswobodzony tym sposobem cukier, mówiąc:

— Niechże panowie będą łaskawi.

Podziękowaliśmy skwapliwie, i aby dowieść, że wino nie jest tak złe, wysączyliśmy po parę kropel obmierzłego kwasu.

Wówczas sama gospodyni domu wzięła talerzyk z gruszkami, na którym pomimo odegnania pozostało parę much przylepionych łapami i poczęstowała nas tym specjałem wyrobu Fisi i Nasi.

Broniłem się z uporem rozpaczony i ledwie mi się udało. Zefirek nie miał tyle odwagi cywilnej; przyjął najpiękniejszy egzemplarz, który mu pani własne mi rączkami wybrała i z rezygnacją zanurzył w nim zęby. Ale ukarany za to został, bo nagryzłszy do połowy, nie wiedział co dalej zrobić. Zęby mu uwieźły — nie mógł ich wydobyć, a dalej zatopić nie śmiał, bo czuł już w nich łupanie. Szczęściem w tej chwili zagadnęła go pani domu, zapytując jak mu smakuje, i to dopiero zniewoliło go do energicznego użycia szczęki.

Wlokła się jeszcze jakiś czas rozmowa przy akompaniamencie brzęczenia i gonienia się much, z której dowiedzieliśmy się między innymi, że wszystkie trzy panie były nie dawno w Prusach za kartkami, (mieszkali bowiem o milę tylko od granicy) i przewiozły przy sobie szczególniejszym sposobem, nie kwalifikującym się do powtórzenia całej serwis porcynele. której próbki mieliśmy na tacy, w postaci talerzyków oraz że od pewnego czasu zaczęli po trochu zarzucać świece łożowe, używając natomiast suterenowych, nie potrzebujących ucierania. Dowiedziawszy się tych ważnych szczegółów, uznałem za stosowne zabrać się do .odwrotu'. Dałem przeto znak Zefirkowi i powstałem, aby się pożegnać; ale nie chciano słyszeć o tem, zatrzymując nas na arbatę. Widząc że się gwałtem wydzieram, jedna z panien otrzymawszy do ucha jakieś polecenie od matki, wyszła do drugiego pokoju i po chwili wróciła prowadząc tę samą dziewczkę niosącą dwa lichtarze z zapalonymi świecami. Ponieważ nie było jeszcze tak ciemno ażeby

pokój oświecać, wniosłem ztąd, że pani domu chodziło przedewszystkiem o to, aby nas przekonąć, że rzeczywiście palą suterynowe świece.

Jakoż, gdy powtórnie natarczywiej już objawiłem chęć odjazdu, zatrzymywano nas już tylko czysto dla ceremonji, i wydostaliśmy się- przecie szczęśliwie.

Pomimo niefortunego zaprezentowania się rodziny Wydzierkowskich, Zefirek widocznie ukartował sobie plany na którąś z panien, bo unikając przez drogę wszelkich uwag nad przyjęciem jakie nas spotkało, zapytał tylko z niechcenia:

— Po ile też będą miały te panny posagu?"

— Po kilkadziesiąt tysięcy.

— Ileż naprzykład... dwadzieścia? trzydzieści?

— Nie wiem, ale zdaje mi się, że więcej jak po pięćdziesiąt.

— En gotiu! — zapytał próbując ręką zarostu na wąsach.

•j— Niewątpliwie.

Zadumał się głęboko, a o pomyślnym wypadku tego wniknięcia w siebie ztąd mogłem wnosić, że nim dojechalśmy do domu usłyszałem parę razy:

— Rrrrom tom tom, rom tom tom...

Przez dwa dni po tej wizycie Zefirek chodził zamyślony, a trzeciego prosił mnie o konie do Piliszkowa. Pojechał sam i wrócił późno

w nocy wesoły, roztrzpiotany. We dwa dni pojechał drugi raz, a potem znowu wkrótce na urodziny Fisi uroczystie obchodzone, po których wrócił pijany i jakiś nie swój. Był jeszcze raz czy dwa. słowem wszystkiego pięć czy sześć razy; nareszcie po tem wszystkim, raptem, że się wyrażę jego językiem, dał nura, czyli mówiąc po ludzku przestał bywać. Na zapytanie moje w żartobliwym tonie uczynione, jak stoją jego interesa w Piliszkowie, skrzywił się i odpowiedział ni to ni owo. Nie wiedziałem co o tem myśleć. Nareszcie częścią od niego samego, wybadawszy go zręcznie, częścią z boku, dowiedziałem się o powodach zerwania, z których głównie wymienię.

W czasie uroczystości urodzin, Zefirek podchmielił sobie przy obiedzie, w miłym, chociaż nie koniecznym towarzystwie, winem podobno lepszym trochę od tego, jakim nas utraktowano podczas pierwszej wizyty. Podo- chocona młodzież wyprowadziła dla zabawki jakąś narowistą szkapę obdarzoną uporem osła i dosiadała ją po kolei wyprawiając harce, do których i-Zefirek po pianemu chcący się popisać przed płcią piękną, wziął się należeć. Gdy przeto kolej przysła na pana asesora, bo tak go tam nazywano, dosiadł konia, który w uporze miał tę właściwość, że nie chciał iść naprzód lecz w tył. Jak łatwo było prze-

widzieć, nie umiał sobie dać z nim rady, i przejechał już, ku wielkiemu ukontentowaniu widzów, dwa razy podwórze, w tym wstecznym kierunku, gdy nareszcie naciskany przez otaczającą go i krzyczącą młodzież koń zaczął się cofać w kierunku domu, a mianowicie okna, w którym zebrana była żeńska część widzów. Jak już wspomniałem okna były bardzo niskie, prawie w ziemię zalazłe; koń cofając się rozpaczliwie, napotkał jedno z nich, a nie znajdując zbyt dużego oporu, bo ramy były sprężyste, wytłoczył je i tylną połową swoją znalazł się w pokoju, z wielkim strachem i zgrozzeniem kobiet, które uwzięły się utrzymywać, że pan asesor uczynił to umyślnie. Oprócz tego poprzednio jeszcze, Zefirek już podchmielony, w opowiadaniu jakiejś facecji będąc zmuszony użyć wyrazu baba, w roztargnieniu przeprosił zań gospodynię domu, co ona wzięła za umyślnie uczyniony jej afront. Ale to jeszcze nie wszystko; pragnąc przysłużyć się Fisi, do której szczególny poczuł afekt, ów Uępał postarać się o przepis robienia dobrych mających być ozdobą przyjęcia w jej urodziny. Kucharz mój, do którego udał się Zefirek dał mu przepis fałszywy, polegający mianowicie na tem, że można było pół kopy wafli zrobić na jednym jajku i dwóch łyżkach masła. Pani Wydzierkowska jako gospodyni oszczędna uchwyciła się gorąco

przepisu, ale wafle na nic się nie zdały i skompromitowały całe przyjęcie.

Te trzy okoliczności zrzędziły, że na Zefirka zaczęto spoglądać kwaśno i przymawiano mu delikatnie za następną jego bytnością. Gdy jeszcze przyjechał znowu za parę dni, spostrzegł u panien pieska, którego dawniej nie zauważył, nazywającego się tak samo jak on, i gdy Fisia wołała nań po imieniu, tak że pan asesor mimowoli parę razy się obejrzał, myśląc że woła na niego, wziął to za osobistość, i zerwał stanowczo stosunki z domem państwa Wydzierkowskich.

Po tem zerwaniu przepędzał czas Zefirek w domu, nie wyjeżdżając nigdzie. Spostrzegłem że wpadła mu w oko siostrzenica żony mojego ekonoma, panna Justyna; zachodził z niechęcią około niej, wybierał się na przechadzkę w tę stronę, gdzie ją mógł spotkać i pożyczał jej książek do czytania z mojej biblioteki, czego udawałem, że nie widzę. Wreszcie, raz wyjechałszy konno w pole spotkałem Zefirka, który Justysię powracającą od żniwa, gdzie nosiła wujowi podwieczorek, konwojował do domu osłaniając od promieni słonecznych parasolem, z którym zawsze chodził. Spostrzegłszy mnie, Justysia odskoczyła od Zefirka, który z miną nader głupią stanął, nie wiedząc czy się śmiać czy płakać. Nie uważając niby na to wszystko,

pojechałem w swoją stronę, a obejrzawszy się parę razy, widziałem najprzód jak Zefirek stał z pięć minut w miejscu pod swoim parasolem, nie pewny co zrobić, następnie zaś jak pokroczył ku wsi za Justysią, która go już wyprzedziła z paręset kroków.

Ale i ten romans przerwały okoliczności w samym zawiązku. W kilka dni Zefirek zasłabł. Gospodyni moja, kobiecina już w wieku, i znająca lekarstwa na wszystkie choroby, poradziła czerwone wino grzane z korzeniami; ale gdy kucharz stanął przed nim z szklanką tego napoju na tacy, Zefirek konwulsyjnym ruchem odepchnął go ze zgrozą i nie chciał słyszeć o żadnym lekarstwie; gdy zaś sama natura bez innej pomocy przyniosła mu ulgę, tego samego dnia jeszcze zaczął domagać się natarczywie, abym go odesłał do najbliższej stacji pocztowej, z którą codziennie odchodziła kurjerka do Łowicza. Wiedząc, że termin urlopu dozwala mu zabawić jeszcze kilka dni, zdziwiony byłem tem żądaniem i prosiłem, ażeby się nie śpieszył; nie chciał przecież ani słuchać o tem i ponowił swoje nalegania. Widząc, że na upor nie ma lekarstwa, zrobiłem jak życzył i na drugi dzień rano opuścił mój dom, zostawiając mnie zaintrygowanego nie mało tym wyskokiem.

Zagadkę całą wyjaśnił mi dopiero list przywieziony przez powracającego z poczty fornalą. Zefirek pisał między- innymi:

„Nie chcąc abyś fałszywie tłumaczył sobie powody mojego postępowania, odkryję ci całą intrygę, której o mało co nie padłem ofiarą. Czyniąc to, mam na celu nie tylko własne usprawiedliwienie się, ale nadto zrobienie ci może ważnej przysługi. Dowiedz się, że masz pod swoim dachem indywiduum, które, sądząc pa tem co się mnie przytrafiło, zdolne jest odważyć się na wszystko. Wiadomo ci może, że kucharz twój Wincenty, ma myśl żenienia się z panną Justyną, siostrzenicą twojej ekonomowej. Co do mnie, nie wiedziałem o tem bynajmniej; ale jegomości temu uroiło się, że włożę mu w drogę. I czy wiesz co zamierzył?... dowiedziałem się wszystkiego z boku, przez pewną osobę przychylną mi... oto, otruc mię! Uwierzyłem temu bardzo snadno, bo komuż łatwiej dokonać podobnej zemsty bezkarnie, jak kucharzowi; a nadto przypomniałem sobie, że parę razy, gdy Tomasz był na polowaniu, a Wincenty obnosił potrawy, zwracał półmisek ku mnie w szczególny sposób, zachwalając mi pewne kąski. Przypisywałem to naówczas dobrej dla mnie chęci tego potwora... Ale opatrność czuwała nademną. Bądź jak bądź, pojmujesz, że narażać się dobrowolnie na podobne nie-

bezpieczeństwo, którego już raz zaledwie uni- i knąłem, byłoby z mojej strony szaleństwem..."

Nie mogłem doczytać tego listu bez śmiechu, tak serdecznie mię rozweselił. Domyśliłem się, że służba moja wzięła Zefirka na fundusz, czyli, jakby on się sam wyraził na kawał i ] użyła go najbezczelnej; jakkolwiek bądź jednak, . byłem zniewolony przyznać mojemu gościowi ] niezaprzeczone prawo postąpienia sobie tak jak j postąpił i skwitować go z wszelkich pretensji, j

Dla osób. które zainteresowała ta postać, | dodać muszę, że w lat parę potem, niefortunny 1 konkurent Fisi i amant panny Justyny, ożenił 1 się w Warszawie z córką zamożnego fabrykanta 1 świec i mydła, osobą bardzo wykształconą, i która przyniosła mu w posagu dom na Podwalu, | że stosując się do jej woli nie porzucił posady fl w rządzie gubernjalnym, gdzie dziś pobiera fl 4.000 złr. rocznie, że ma obecnie troje dzieci fl i nie jeździ nigdy na wieś powtarzając, że ka- fl zdemu najzdrowiej jest oddychać tem powie- I trzem, do którego nawykł od dzieciństwa.

'O

&